№ 31. Warszawa, dnia 1-go Sierpnia 1908-go roku. Rok XLIV

BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80; półrocznie rub. 3 kop 60; rocznie rubli 7 kop. 20.
Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.
Cena numeru pojedyńczego kop. 20.

Wychodzi pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.
Ekspedycya główna: ulica Nowy-Swiat, 41.
Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszczu" po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent- 50.
W Krakowie u D. E. Friedleina; kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem dla abonentów „Dziennika Poznańskiego." w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk.; z przesyłką pocztową 4,30 mk.

Miraże.

Pamiętam rok 1870-ty. Byłam wtedy dzieckiem, dzieckiem ciekawem, które chętniej wsłuchiwało się w gawędę starszych, niż w dziecinne gwary i pustoty. Mówiono wtedy wiele o różnych dziwnych zjawiskach, o wspaniałym meteorze, który upadł w północnej części Królestwa, o zorzy północnej, której blask podziwialiśmy wśród pięknej letniej nocy.

Te znaki niebieskie tajemniczo kojarzono z wybuchłą wojną francuzką; fala pozytywizmu bowiem nie dotarła jeszcze wtedy do cichych zakątków wiejskich, a skłonność do mistycyzmu przejawiała się otwarcie i śmiało, bez obawy posądzania o ignorancyę i nieznajomość nauk przyrodzonych. Późno w noc przeciągały się ożywione gawędy, a oczy płonęły blaskiem niepochwytnych nadziei, co to się stanie, gdy Francuz pobije Niemca, a pobije napewno.

Nicowano całą Europę; przerzucano jej granice, tworząc naturalnie jaknajponętniejsze dla nas kombinacye; Napoleon III miał dokonać tego, co przyrzekł I-szy... wsłuchiwano się chciwie w echa z odległego teatru wojny, drżącemi rękami zrywano opaski z gazet...

Wiemy co potem nastąpiło. Wiele się zmieniło, starą Europę wstrząsały rozmaite dreszcze, ale opasujące nas obręcze nie drgnęły nawet, lecz jeszcze silniej się zacieśniły. Jedno się tylko nie zmieniło: nasza skłonność do złudzeń. Żyjące wtedy pokolenie posiwiało już dzisiaj, a jednakże dziś jak i dawniej chętnie wpatrujemy się w odległe perspektywy i szukamy pociechy w zwodniczych kombinacyach.

Ruchliwa widownia świata dostarcza nam ciągle wątku do fantastycznych rojeń, nie brakło i w tym roku niezwykłych znaków na niebie i ziemi: świeciła zorza północna, był Rewel i zjazdy słowiańskie. Zorza wprawdzie sprzeniewierzyła się swym tradycyom i nie wywróżyła wojny, ale można jej darować że się pomyliła, biorąc za wojnę ciągłe trwanie stanu wojennego w naszym kraju. W tak dziwnych żyjemy czasach, że najmędrszej wyroczni trudno byłoby zoryentować się w jaskrawych sprzecznościach i uniknąć szpetnych pomyłek.

Nic więc dziwnego, że i my, zwykli śmiertelnicy, mylimy się w ocenie faktów i zjawisk, ale czy nie mylimy się za często?

Możnaby wnioskować że naród, który doświadcza ciągle gorzkich rozczarowań i bolesnych zawodów, powinien stać się odpornym względem różnych suggestyi, i przezornie niedowierzającym względem wszelkich nieokreślonych i niejasnych obietnic losu. Tymczasem rzecz się ma wręcz przeciwnie; życie nasze upodobniło nas do wędrowców zbłąkanych na pustyni i urobiło w nas podkład psychiczny ogromnie podatny do przyjmowania wszelkich złudzeń. Targani w ostatnich czasach przeciągłe przerzuty od nadziei do zwątpienia, straciliśmy właściwe poczucie rzeczywistości, a spotykając na realnym gruncie jedynie wrogie nam fakty, chętnie zapuszczamy wzrok w dalekie przestrzenie i w stworzonych tam przez naszą wyobraźnię mirażach, widzimy to, czego nam życie stale odmawia: widoki lepszej przyszłości, nadzieje rozwiązania bolesnych problematów chwili obecnej.

Staliśmy się narodem wizyonerów, a skłonność do łudzenia się przeszła nam w drugą naturę. Tymczasem rzeczywistość nie skąpi nam lekcyi otrzeźwienia, co chwila oblewając nas zimnym tuszem, i rozwiewając lodowatym podmuchem wszystkie nasze piękne fatamorgana.

I w tym roku stawialiśmy zamki na lodzie i oglądaliśmy czarujące ogrody wśród naszej Sahary. Ale znikła zorza północna, przebrzmiał Rewel, skończyły się bankiety słowiańskie, a zostały okólniki... Dzieci nasze będą się w prywatnych szkołach uczyły geografii i historyi po rosyjsku. Jest to tylko jedno z wielu otrzeźwiających dotknięć rzeczywistości... jedno z bardzo wielu...

Możeby lepiej o tem nie wspominać i nie psuć tego świątecznego nastroju, który po dniach słowiańskich aż do nas z Pragi się przedostał? My nie lubimy chłodnego sceptycyzmu, nieufności, niedowierzania; głosy trzeźwe, zrzędzące po ojcowsku na dziecinny nasz optymizm, nie cieszą się u nas popularnością.

Szybko przemijają odgłosy miodopłynnych przemówień, pociągi kuryerskie porozwożą złotoustych mężów i nasze miraże rozwieją się na cztery strony świata, ale mniejsza o to, my sobie wkrótce nowe wytworzymy, wiecznie roztaczając poświatę złudzeń na szarych kręgach naszej przesmutnej doli. Pragnienie złudzeń stało się już naszą psychiczną potrzebą, naszym codziennym nałogiem i możnaby nam, pasierbom losu, wyrozumieć tę grę wyobraźni jako niewinną rozrywkę, gdyby nie pociągała złych następstw, gdyby nie przechodziła w haszyszowe upojenie, wyczerpujące moralną tęgość i siłę.

Niestety, z wyżyn marzenia nie spada się bezkarnie na skaliste dno rzeczywistości, a połamane w takich spadkach skrzydła nie odrastają w silne i krzepkie ramiona.

Nasza nadwrażliwość, nasza skłonność do brania zwodniczych mar za rzeczywistość, znaną jest i wyzyskiwaną umiejętnie przez silnych hypnotezerów. Rozmaitego pokroju działacze umieją nas wydobyć z ukrycia, gdy tego zachodzi potrzeba i wciągają nas z łatwością w grę swoich kombinacyi, które nic wspólnego z naszymi planami nie mają.

Niema tak podstępnej gry jak polityka, a żaden kodeks podstępu tego nie dochodzi i nie karze. Nieostrożny gracz płaci koszty przegranej i na tem koniec.

Szczęśliwa gra nigdy nie była naszym udziałem, zawsze i stale przegrywaliśmy, nie liczmy więc na to, że karta się odwróci i że jakiś nadzwyczajny zbieg rzeczy, jakaś jedna błogosławiona chwila sprowadzi pomyślny zwrot w naszych stosunkach. Może nam już tak pisano w księdze przeznaczeń, że tylko to mieć będziemy co twardą dłonią wykujemy,

co w pocie czoła i nadludzkim trudzie wydźwigniemy z odmętu, a będąc wrażliwymi i miękkimi, szybko steramy nasze siły. Kto jest w takiem położeniu jak ziarno zboża między dwoma młyńskiemi kamieniami, ten powinien pamiętać, że tylko twardość i ostrość owo ziarno przed zmieleniem uchroni.

Nasz instynkt zachowawczy wskazuje więc, że my matki, powinnyśmy hodować dzisiaj nie przeczulonych nerwowo intelektualistów, ale hartownych jak stal twardych pracowników jutra. Potrzeba nam zerwać raz zasłony marzycielstwa z oczu, potrzeba nam wskazań utylitarnego patryotyzmu, któryby nas ustawicznie napominał, że nie w obłoki nam patrzeć i miraży w nich szukać, ale trzeba nam spoglądać na najbliższe ścieżki i usuwać z nich co nojcięższe głazy, a wszyćtko co odwraca nasz wzrok od rzeczywistości, jest tylko daremną stratą czasu.

Zofia Bielicka.

ST. PORAJ.

Idylla goździkowa.

Do czytelnika od wydawcy.

Miałem młodego przyjaciela literata, był to człowiek bardzo sympatyczny i zdolny, uderzającą cechą jego charakteru była dobroć. Wstydził się jednak tej cnoty i lubił pozować na egoistę.

Człowiek ten, najzupełniej zresztą normalny miał jedną niewinną manję. Oto lubił namiętnie purpurowe goździki. Do butonierki nie używał nigdy innych kwiatów, przezywano go nawet z tego powodu polskim Boulangere'm. W jego eleganckiej, niezmiernie estetycznie urządzonej, „garçonierze“ w Alejach Ujazdowskich, nie było nigdy innych kwiatów prócz czerwonych o rozwichrzonych płatkach goździków, które rok cały królowały tam niepodzielnie.

— To chyba z Nizzy sprowadzasz te kwiaty? spytałem go się którejś zimy.

— O ile nie mogę ich dostać tutaj, to tak.

— To cię musi sporo kosztować, zauważyłem niezręcznie.

Uśmiechnął się subtelnie końcem warg i odpowiedział mi słowami Fryderyka II.

— „Ça coute moins qu'une Pompadour" — a trzeba ci wiedzieć, że odkąd zakochałem się w goździkach, przestałem się kochać w kobietach.

I rzeczywiście tak było, ostatnie lata życia, ten świetny światowiec przeżył jak anachoreta, a pracował jak Benedyktyn; mówiono o nim że się zabija pracą i może być że tak było. Umarł cicho, pogodnie, piękny jak młody bożek. Po śmierci znaleziono u niego parę zwiędłych ciemnych goździków w medaljonie, zawieszonym na szyi.

W testamencie swoim polecił mi zająć się wydawnictwem napisanych w ostatnich czasach studyów estetycznych z czasów Peryklesa oraz historycznych powieści. Prosił też usilnie o spalenie pozostałych po nim papierów. Jestem pewny, że i fragment ze swego życia p. t. „Idylla goździkowa" nie obrobiony po literacku, nie oszlifowany, przeznaczył na całopalenie.

Powinien więc być zniszczonym — pomyśli czytelnik. Takby się zdawało. Nie jest to rzecz z literackiego stanowiska wartościowa, może ona jednak przynieść wiele radości podniosłej i kojącej jednej prawej kobiecej duszy i ten wzgląd, przeważa we mnie wolę zmarłego.

Zwłaszcza że głos wewnętrzny, ten nieomylny, mówi mi, że duch mego przyjaciela z pozaświatowej krainy, pochwala mój zamiar i oto dlaczego upraszam jaknajszersze koła czytelniczek o przeczytanie i to uważne „Goździkowej Idylli", bo pragnąłbym bardzo aby ta, która stała się bezpośrednią przyczyną do napisania tego utworu, zapoznała się z nim i dowiedziała, że zdołała wzbudzić wielkie, czyste i trwałe uczucie, w prawem męskiem sercu.

St. Poraj.

Goździkowa Idylla.

„Du sublime au sensuel
il u'y a qu'un pas“.

Gdy wszedłem rano do jadalni w Rozwadowie nie zastałem tam jeszcze uroczej gosposi. Służący objaśnił mnie że jaśnie pani poszła do ogrodu po kwiaty.

Poszedłem tam.

Przy mojej lotnej wyobraźni, przedstawiłem sobie jak ładnie musi wyglądać ta śliczna młoda kobieta na tle zieleni, w cienistym ogrodzie, pełnym miłych zakątków i mrocznych lipowych szpalerów.

Poczułem nagle nieprzepartą chęć ujrzenia jej, zechciało mi się nagle nasycić oczy widokiem jej gibkiej postaci, jej cery białej z różowawym odcieniem, uchwycić spojrzenie tych przejasnych szafirowych źrenic, które umieją mienić się, całą gamą barw, począwszy od spokojnego „lapis lazuli“ aż do pochmurnego, groźnego granatu.

Lubiłem namiętnie te jej oczy, chwilami pytające, czyste, jak oczy dziecka, to znów ponure i groźne, jak wzrok kobiety dojrzałej, która patrzyła twarzą w twarz najstraszniejszym zagadkom bytu.

Lubiłem także jej usta, drobne, purpurowe, trochę zmysłowe, takie soczyste i pociągające, usta jakby stworzone do całowania, zwykle pogodne, rozchylone uśmiechem, zrzadka jeno, przelotnym skurczem wykrzywione.

Lubiłem również jej złociste, naturalnie falujące włosy, niezwykle bujne i świetne w kolorycie.

Lubiłem jej rasowe małe dłonie, delikatne i niezwykle białe.

Lubiłem ogromnie ją całą, od drobnych stóp począwszy aż do rozwichrzonych złotych włosów, tworzących puszystą chmurę nad jej czołem.

Lubiłem jej prawą, czystą, subtelną naturę, kto wie? może zaczynałem ją wtedy kochać.

Byłem w tym okresie stosunku do niej, że dobrze mi było w jej towarzystwie, lubiłem długie z nią rozmowy, głos jej mile pieścił moje ucho, oczy upajały się każdym jej ruchem. Jako literata dyletanta skłonnego do upatrywania w każdej młodej i ładnej kobiecie sfinksa lub psychologicznej zagadki, zajmowała mnie i budziła żywe zajęcie.

Obserwowałem ją i poddawałem analizie jej słowo, zachowanie i postępowanie. Przychodziło mi to łatwo, bo stosunek nasz był dość poufałym z tej racyi, że byłem dalekim krewnym i kolegą szkolnym jej męża, poczciwego Jasia. Tego ostatniego, śmiem to twierdzić stanowczo, znałem lepiej niż siebie samego, może dlatego, że był to sobie dobry, poczciwy hreczkosiej, o konturach wewnętrznych bardzo prostolinijnych, poczciwy filister, lubiący smaczny obiad, przy czarnej kawie dobre cygaro i — pieszczoty żony.

Ożenił się z nią z miłości pono, nie rozumiał jej jednak nigdy, nie zajrzał zdaje się ani razu do głębi jej duszy. Zresztą, dbał o nią, był jej naprawdę wiernym i mówił z głębokiem przekonaniem: „Hela zgrzeszyłaby ciężko, gdyby myślała, że jej jeszcze brak czegoś do szczęścia".

I pozornie tak było, pani Hela miała dyskretnie ograniczonego męża, młodego, zdrowego, kochającego ją czule, miała dostatek, graniczący o krok ze zbytkiem, miała brylanty, piękne stroje, dwoje ślicznych dzieci.

Głos opinii, tej nowoczesnej wyroczni, uznawał ją za najszczęśliwszą istotę pod słońcem, ona sama wydawała się często, zupełnie szczęśliwą.

Ja jednak zapatrywałem się sceptycznie na to jej szczęście, pomimo, że często z zapałem zapewniała mnie o niem.

— Nie pojmuję jak dwoje ludzi tak odrębnych, jak pani i jej mąż, mogą żyć zgodnie i uważać się za szczęśliwych — powiedziałem jej niedawno przy Jasiu.

— Jesteśmy codzień szczęśliwsi, nieprawdaż Helu? — pytał mój kolega z promieniejącą zadowoleniem twarzą.

I co się tyczy tego poczciwca, nie wątpiłem nigdy, ani przez sekundę żeby udawał. Ale ona?

Taka inteligentna, taka wrażliwa, czyż to możliwe aby jej wystarczyło do szczęścia proste i dobre z gruntu serce mego kolegi, jego inteligencya umiarkowanie rozwinięta w kierunku praktycznym, a „au physique" czyż taką wykwintną patrycyuszkę jak ona, może zadowolnić ta otyła, jowialna twarz, typowego szlachcica, osadzona na ociężałym tułowiu.

W tej chwili przychodzi mi na myśl, że jestem uważany przez bardzo wymagającą pod tym względem znawczynię, za pięknego chłopca, przypominam sobie ile razy słyszałem

pochlebne szepty o mej urodzie, zwłaszcza o oczach pełnych blasku i ognia.

To poczucie, że jestem pięknym mężczyzną poprawia mi znakomicie humor. Tego rana zwłaszcza czuję, że muszę wyglądać dobrze, jestem wyspany, cerę mam świeżą, wąsy dobrze mi się ułożyły, krawat zawiązałem z niedbałym wdziękiem, ubranie z białej flaneli leży nieposzlakowanie.

Czuję się lekkim, rzeźkim, wyobrażam sobie, że jej oczy spoczną na mnie z pewną przyjemnością, że usta rozchylą się wesołym uśmiechem. Taką nadzieją ożywiony, szedłem śpiesznie po alejach ogrodu, wysypanych złocistym piaskiem. Szedłem rozglądając się na wszystkie strony i z prawdziwą rozkoszą oddychałem czystem i wonnem powietrzem, przepojonem zapachem lipowego kwiatu. Nagle wiatr, przyniósł mi inne wonie, rezedy, lewkonii, goździków. Zapach goździków przeważał, domyśliłem się, że w pobliżu muszą być inspekta, oranżerya i całe łany kwiatów, przeznaczonych do cięcia na użytek całego domu. Nawiasem mówiąc nie znam ludzi którzyby tak kochali się w kwiatach, jak mieszkańcy Rozwadowa.

Pewny, że mój domysł okaże sie słusznym, zapuściłem się w wązką uliczkę, zarośniętą z dwóch stron wysokim płotem ze strzyżonego krategusu, gdy doszedłem do końca krętego szpaleru, oczom moim przedstawił się wdzięczny obrazek, godny pendzla jakiego prarafaelisty.

Bo oto co ujrzałem:

Duża kwatera pokryta purpurowemi w różnych odcieniach i kształtach goździkami, a wśród tego cudnego łanu szła pani Hela, w białym batystowym szlafroczku, w ogromnym ogrodowym kapeluszu z białego muślinu, z naręczem czerwonych kwiatów, do którego co chwila dorzucała świeżą gałązkę, ściętą sekatorem trzymanym w prawej dłoni.

Ruchy młodej kobiety były powolne, wiała od niej jeszcze ociężałość, jaką pozostawia sen, lub rozkosz, poruszenia jej jednak, były niesłychanie wdzięczne, był w nich rytm pełen poezyi. Na tej kwiecistej łące, z purpurowemi główkami kwiatów u kolan, wyglądała jak zjawisko nie z tego świata.

Stałem długą chwilę nieporuszony, uderzony po raz pierwszy doskonałą, harmonijną pięknością tej młodej kobiety, a oczy moje zachwycone, olśnione, zahypnotyzowane, śledziły chciwie jej ruchy leniwe i poiły się ich wdziękiem.

I nie wiem czybym był prędko zaprzestał tej pogańskiej kontemplacyi gdyby ona nie poczuła na sobie mego natrętnego wzroku Podniosła schylone ku kwiatom oczy i wzrok jej padł na mnie.

Twarz jej pojaśniała i z miłym uśmiechem rzekła:

— Dzień dobry. Musiał pan spać źle chyba, kiedy wstał tak rano.

— Dzień dobry. Nie zgadła pani, przeciwnie, spałem wybornie, a wstałem umyślnie tak rano, aby panią zobaczyć w roli pięknej ogrodniczki.

— Niegodzi się stosować tego przymiotnika do mnie, wobec tylu kwiatów. Patrz pan jakie one cudne i świeże.

— Piękne są, ale cóż z tego? nieświadome swej urody i czaru.

— To właśnie w moich oczach dodaje im wartości i wdzięku.

— A w moich obniża go, ale dajmy kwiatom pokój, a przejdźmy do kobiet jak to czynił zawsze ów wykwintny markiz, który utożsamiał z pięknym kwiatem, piękną kobietę. Powiem pani szczerze że na mnie sama Wenus nie zrobiłaby wrażenia gdyby stanęła przedemną z miną skromnego niewiniątka, na mnie kobiety, które nie mają świadomości swej potęgi, siły swego czaru, nie robią zupełnie wrażenia.

— Wiem, wiem, mówił mi pan wczoraj, że nie lubi pan w kobietach ani naiwności, ani amerykańskiej swobody.

— Nie lubię, bo jedno i drugie psuje mi moje pojęcie o kobiecie.

— A to pojęcie jakie jest dzisiaj? — spytała żartobliwie.

— To pojęcie zarówno wczoraj, jak dzisiaj, jest jednakowe i zaraz je pani wyjawię. Kobieta, która mi się w danej chwili podoba, jest dla mnie istotą tajemniczą, bóstwem, które mi może rozkazywać i brać mnie na tortury, źródłem rozkoszy i natchnienia, przedmiotem nienasyconych pragnień, „siłą fatalną", zagarniającą pod swą władzę moje życie i mogącą je zdruzgotać każdej chwili.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Spadają chwile
Jak ciężkie łzy,
W czasu mogile
Chowają sny.

Znów nowe lecą,
Grabarzy tłum,
Nadzieję nieco,
Rój zwodnych dum.

Lecą tak prędko,
Że serce wre,
Tajemną chętką
Powstrzymać je.

Cuda nieznane
Zdają się nieść,
Wianki różane
Z dni nowych pleść.

I «dzisiaj» kona,
Wzgardzony trup,
Do wspomnień grona
Przybywa grób.

A to, co święci
Jak «jutra» skry,
Gdy na świat zleci
Posieje łzy.

Stefan Gacki.

Rysunki dzieci.

(Dokończenie).

Wspominałam już, że Schröder w 1902 r. w czasopiśmie „Kinderfehler" zwracał uwagę nauczycieli i wychowawców, na błędne pojmowanie dzieci, uwidocznione w rysunkach. Błędne, a więc nienormalne, wymagające specyalnej uwagi, specyalnego systemu nauczania i rozwijania.

Rysunków dzieci nienormalnych nie posiadam wiele. Z pomiędzy tych, wybrałam trzy, jako typowe, z trzech odmiennych rodzajów niedorozwoju dzieci.

Pierwszy wykonała dziewczynka na pozór zupełnie normalna, przy bliższem poznaniu zbyt wcześnie rozwijająca się, nerwowa, histeryczka. Dziewczyna ta, mająca podówczas lat 12 cie, dziś już nie żyje. Zmarła śmiercią gwałtowną. Cierpiała na wizye, słyszała często głosy jakieś, których nikt inny nie słyszał, zdawało jej się, że ją nawołuje Matka Boska, to znów aniołowie. Często przybiegała zrana i opowiadała takie rzeczy niemożliwe, że coraz pewniej poczęłam wierzyć, w pewne zaburzenia mózgowe, którym musiała podlegać.

Kiedyś, widząc, że dzieci moje rysują, przysiadła się do nich, i powiedziała, że narysuje psa. Pies przez nią narysowany z boku, czyli profilu, głowę ma wywróconą do przodu, trzy nogi jednakowej długości, czwartą krótszą, zakończone pazurami, jak u ptaka.

Następnie dziewczynka narysowała świnię. I tu, jak poprzednio, rysunek jej, nic wspólnego z prawdą niema. Jako córka karbowego, zarówno psa, jak i świnię znała dobrze, to jest widywała je codziennie. Przy rozmowie o obu zwierzętach wykazała zupełny brak rozróżniania poszczególnych części, jak też nie rozumiała różnicy pomiędzy zwierzętami.

Drugi rysunek wykonał 17-o letni chłopiec, który wezwany wraz z grupą kilkunastu dzieci, by narysował cośkolwiek z pamięci, człowieka, zwierzę, ptaka, przedmiot codziennego użytku — siedział godzinę nad pustą

kartką, podczas kiedy inne dzieci wykonały mnóstwo mniej lub więcej udatnych rysunków. Wreszcie spocony, ostatnim wysiłkiem, narysował kółko. Błędne koło nierozwiniętego mózgu.

Wszelkie wysiłki nauczenia go dźwięków i pisania — spełzły także na niczem.

Trzeci rysunek wykonała mała, 8-o letnia dziewczynka z lecznicy d-ra Juljana Gawrońskiego, który się specyalnie dzieciom nienormalnym i nierozwiniętym — poświęcił.

Dziecko to, zupełnie normalne, do lat dwóch, biegało, mówiło, rozumiało wszystko. Wskutek spadnięcia z krzesła, dostało zapalenia mózgu z częściowym porażeniem ciała, przestało mówić i chodzić. W tym stanie trwało do 6 go roku życia. Rysunek wykonało po dwuletnim pobycie u d ra Gawrońskiego, a choć ten wykazuje zupełny brak rozwoju pojęciowego, dowodzi budzącej się świadomości. Tego samego dnia, znajdujemy ręką dozorczyni, w dzienniku dziecka zapisane „Zosieńka wymówiła dziś po raz pierwszy, głośno i zrozumiale pierwszy wyraz“, widzimy, że narysowała też pierwszą rzecz, która uderzyła jej wzrok, poczynający rozumieć — istotę ludzką... człowieka!

D-r Gawroński, zainteresowany memi badaniami, postanowił zebrać wiele danych, a to za pomocą bardzo prostych środków. Otóż każe ustawić w poczekalni, w której często długo bardzo czekają matki z dziećmi cierpiącemi na różnego rodzaju niedostatki — ławeczki i stoliki i przygotuje papier i ołówki.

Dzieci znudzone czekaniem, chętnie będą rysowały, a lekarz uzupełni te rysunki własnemi spostrzeżeniami i dołączy określenie i powstanie danej anormalności.

Zbiór takich rysunków będzie miał doniosłe znaczenie dla patologa, jak i psychopedologa i tylko pragnąć należy, by i inni lekarze w ten sposób nauce przysporzyli źródłowych danych.

Zasadniczo różnią się też rysunki chłopców i dziewcząt. Dzieci o wybitnych zdolnościach rysują chętnie obrazki, ilustrując niemi, zdarzenia, sceny i fakty, bądź przeżyte, bądź przeczytane, bądź też wymyślone.

I tak widzimy wojny, potyczki, most ze strasznym policyantem, przejażdżki czółnem lub końmi, Ś-go Mikołaja lub gwiazdosza, wesele, kobietę piorącą, lub szykującą obiad, pastuszka zaganiającego gąski na pastwisko i wiele, wiele przeróżnych scen, które bystre oko dziecka uchwycić zdołało.

Patrząc uważnie na dziecko rysujące, widzimy jaką ogromną przyjemność stanowi dla niego samo *tworzenie*. Każdy świstek papieru, czasem list niedokończony lub stara koperta, o ile jest ołówek pod ręką — stają się źródłem niewyczerpanej rozkoszy.

Bogactwo pomysłów — z niczem nie zrównane, nie każe się dziecku zbytnio troszczyć raz wykonanemi arcydziełami. Zyskało pochwałę starszych -- jest zadowolone; a choć czasem z oburzeniem widzi rysunek swój w koszu lub piecu — natychmiast stworzyć może tyle cudownych rzeczy, że się tym bardzo nie martwi!

Nawet dzieci zupełnie małe, często już od 20-go miesiąca życia, zaczynają rysować. Lukens podaje seryę rysunków swej córeczki od 18-go miesiąca życia, toż samo Baldoin. Obserwując rysunki dzieci małych, widzimy, że wszystko co tylko narysują, przedstawia się na razie jako choatyczny węzeł linii, najczęściej w formie kłębka. Z tego kłębka powoli wyłania się głowa ludzka, okrągła, o kształcie księżycowym, dwa punkciki stanowią oczy, jeden nos, pod nim kreska — usta. Twarz taka nie posiada uszu, głowa niema włosów, osadzona jest na tułowiu, który w pierwszym stadyum bywa tylko luźnym workiem, bez szyi i ramion, jeżeli są ręce, to wyrastają zwykle zaraz z pod brody, jako dwa cienkie patyczki. Wogóle w tym okresie dzieci rysują swe figury z przodu.

Taki rysunek zabiera dziecku, zaledwie kilkanaście sekund czasu i ma ogromny rozmach. Zwolna, cała postać zarysowuje się i przybiera kształty zamierzone, z różnicą w ubiorze dla obu płci. Ubiór jeszcze jest przezroczysty — bo dziecko nie uważa ubrania za przykrycie — za różniczkowanie płci. Mamy więc tułów, biodra, nogi, ramiona i ręce. Następnie dopiero dziecko przerzuca się do profilu i to jest ważny krok naprzód. Zauważyłam też, że 90% dzieci rysuje swoje „osoby“ obrócone profilem ku lewej stronie rzadko się spotyka, by dziecko równie biegle rysowało profile z obu stron, lub ku prawej stronie obrócone.

Człowiek jest bezwarunkowo najpierwszym i najbardziej interesującym przedmiotem rysunków dzieci małych.

Pani Maitland, w badaniach swych nad rysunkami dzieci Kalifornijskich, doszła do przekonania że 45% dzieci do lat 7-miu rysuje ludzi, 24% zwierzęta, 3,1/100% rośliny, 3.2 — domy. Moje własne, dotychczasowe badania, nie wykazują podobieństwa procentowego z dziećmi amerykańskiemi. Ważnym szczegółem dla obserwatora jest ten, że dzieci zdolne i inteligentne, posługują się zwykle jaknajmniejszą ilością linji akcesoryjnych. Rysunek ich posiada rozmach i prostotę, często ani jednej linii nie znajdziemy zbytecznej. Szczegół ten, każe kłaść nacisk na uwolnienie rysunku początkowego, od wszelkiego cieniowania, które uprawnia tak często wrodzoną dzieciom skłonność do gryzmolenia bezmyślnych i niepotrzebnych linii.

Jeżelibyśmy przyjrzeli się z blizka życiu wielu znakomitych malarzy i poetów — odszukalibyśmy wśród starannie przechowywanych pamiątek, niejeden rysunek znamionujący przyszłego artystę.

Nie chcę tu mówić o malarzach obcych — dosyć, gdy wspomnę dwu poetów Słowackiego i Wyspiańskiego, którzy obaj, jako dzieci namiętnie lubili rysować i tworzyli rzeczy na wiek swój zadziwiające.

Najbliższe otoczenie małego Juljusza, pewnym było, że wyrośnie z niego znakomity malarz, Wyspiański miał się podobno za większego malarza niż poetę i dusza jego, dusza wielkiego artysty, kochała się w barwach i cieniach, słońcu i jasności, których żadne pióro oddać nie jest w stanie.

Zdolność twórcza, przebija się w rysunkach dzieci nawet małych, jest to jednak objaw spotykany rzadko. Zdolność ta każe dzieciom rysować pojęcie jakieś, lub rzecz oderwaną, abstrakcyjną, np. wiatr, burzę — załatwiając to paroma pociągnięciami pióra.

To jest ta sama wyobraźnia twórcza, która każe poecie malować cudne, wierszowane strofy, rzeźbiarzowi wykuć z marmuru żywą istotę ludzką, która im wysnuć każe z własnej fantazyi — rzecz nieistniejącą.

Gdy raz zwróciłam mojej maleńkiej córeczce uwagę, że podczas burzy drzewa się chwieją, a nie stoją cicho, jak na jej rysunku — odpowiedziała mi stanowczo: „Czy mama nie widzi tych kresek? To jest burza, ona dopiero nadchodzi, więc drzewa stoją cichutko z wielkiego strachu“. Mój 6-cio letni siostrzeniec narysował dyabła, którego się następnie tak bał, że póty spać nie mógł w nocy, dopóki mu matka nie powiedziała, że rysunek ten w domu już nie istnieje.

Chłopiec ten dyabła na rysunku nie widział nigdy — przypuszczam, że słyszał o nim nieraz od starej, przesądnej niańki, która obietnicami mąk piekielnych dręczyć musiała biedną jego duszyczkę. I tak powstało to pojęcie o dyable, w jego umyśle i dręczyło go dopóty, dopóki go nie stworzył na papierze. Jego dyabeł nietylko jest czarny i ma rogi na głowie, ale ma rodzaj grzechotek nad uszami, biegnąc czyni widocznie szalony hałas, a biegnie by pochwycić swą ofiarę.

Rysunek ten prócz siły dramatycznej rzuca się w oczy, jako obraz nieprzeciętnej, oryginalnej twórczości. Jeden z małych artystów narysował anioła. Przypuśćmy, że go nie kopjował — dzieci kopjują źle i mając nawet wzór przed sobą, narysują to tylko co wiedzą o danym przedmiocie, a nie to co widzą. W każdym razie rysunków podobnych widzi się wiele — niema w nich oryginalności — choć jest niezmierna delikatność wykończenia i pewna subtelność.

Moja mała, 4 o letnia podówczas córeczka, narysowała matkę Chrystusa. Dziecko takiego rysunku nie widziało nigdy. Pomimo ogromnej brzydoty twarzy, cała postać ma dziwną lekkość i rozwiewność, ma miękką falistość linii.

Dziecko w ten sposób utwór ten objaśniło: „Matka Boska płynie na ziemię do dobrych ludzi. Rozpuściła czarne włoski i biegnie boso, bo po co jej trzewiczki? Wyciąga rączki do biednych dzieci“.

W takie to szaty ubiera fantazya dziecka owoce wyobraźni.

Niewyczerpany skarb zawiera twórczość artystyczna dzieci i mniemam, że badanie tego przedmiotu, może nam dopomódz do uchylenia rąbka, pokrywającego duszę dziecka. Nawet najmniejsze przejawy duszy, pełne są ciekawych i często ważnych wskazań, a cóż dopiero samodzielne, wolą starszych niekrępowane, wypowiadanie się.

Jest to bogata skarbnica dla myśli badacza, a objaśnienie zagadnień, jakich jest pełną, może się przyczynić do lepszego zbadania potrzeb, dążności, wad i zalet dziecka.

Zastosowując w praktyce wyniki naszych badań nad dziećmi, możemy mieć nadzieję, że prostujemy wązkie i nieznane ścieżki, by wieść ku lepszym, szczytniejszym celom dusze dzieci naszych.

Anna Grudzińska.

Władysław Ludwik Anczyc.

(W dwudziestą piątą rocznicę zgonu).

„... Jeśli cię zapomną Jeruzalem, nie zapomnianą będzie prawica moja. Niech przyschnie język mój do podniebienia mego, jeżelibym na cię nie pomniał, i nie pokładał cię na początku wszystkich pociech moich".

(Psalm 136).

Te cudne słowa psalmisty, śpiewającego nad rzekami Babilońskiej ziemi, to cudne i święte zaklęcie — które na pogrzebie ś. p. Anczyca w 1883 roku w Krakowie wziął za *motto* swej mowy ponadgrobnej ks. kanonik Polkowski — wyryte miał w pamięci i duszy i sercu zmarły przed 25 laty autor „Emigracyi chłopskiej". — Władysław Ludwik Anczyc (Kazimierz Góralczyk), wierny syn ojczyzny, o której nigdy nie zapominał, którą zawsze „pokładał na początku wszystkich pociech swoich" i wszystkich czynów swoich, z tej miłości ojczyzny, z tej nieustannej o jej dobro i pożytek dbałości, zrodzonych.

Był jako ów siewbiarz na zagonie, co w ziemię rzuca ziarno święte, choć nie wie, czy plon z niego będzie — był, jako oracz, pokorny, a cichy, co, zlany potem, rąk nie opuszcza ani na chwilę, pleni chwasty i oczyszcza ukochany szmat pola, był, jako żniwiarz, co burzy się nie lęka i plon zły czy dobry zbiera, pracując bez wytchnienia i bez spoczynku, nieraz nawet nie dla siebie, a dla innych się trudząc tak bardzo.

Nie umysł potężny, nie ducha o lotach orlęcych, szybującego w niedostępny dla innych świat podniebny — czczono w Anczycu, ale serce proste, a wielkie, bo miłujące i ofiarne, ale duszę o pogodzie greckiej, charakter czystości niezwykłej, nieskazitelny, spiżowy...

I tę dobrą wolę, z jaką wszystko, czynił, i tę prawość zasad niewzruszoną, i energję i zapał do czynu.

Urodzony dnia 25 listopada 1823 roku w Wilnie, z rodziców Zygmunta Anczyca, artysty dramatycznego i Barbary z Chochorowiczów — przeżył twórca „Tyrteusza" 60 lat życia na tej „łez dolinie" w ciężkiej walce o chleb powszedni i w bojowaniu o prawdy święte, o ideały, które ukochał i w które wierzył.

I nigdy dla tego „kęsa chleba" nie sprzeniewierzył się sobie, nigdy nie oddał pieśni swej na kram, pióra — na usługi zasad, których nie wyznawał.

Był, jak to słusznie zauważył jeden z jego biografów, pisarzem artystą w znaczeniu, jakie Carlyle pisarstwu nadaje: chciał, aby z czarnych znaków na papierze wytwarzały się jasne czyny w życiu, wierzył w powołanie swoje, w apostolstwo pióra — a choć w skutek tego, nie pisał nic, coby nie było wyrażną nacechowane tendencyą — godził tendencyjność z artyzmem i starał się, aby jedna drugiemu nie przeszkadzała.



WŁADYSŁAW LUDWIK ANCZYC.

Czysty i niezbrukany szedł przez to życie, czystym i niezbrukanym pozostał dla nas na zawsze jego wizerunek duchowy...

Działalność jego społeczna, jako pisarza-twórcy, jako redaktora-pedagoga, zasługiwała na najwyższe uznanie, jako właściciel firmowy wielkiej drukarni w Krakowie również nie bylejakie położył zasługi i nie splamił się nigdy wydawaniem książek brudnych, złych, plugawych — dla zysku.

To też, według słów Asnyka:

„Zakwitły kwiaty na cmentarnej grzędzie,
Noc pracownika otoczyła głucha
A nieśmiertelna cząstka jego ducha
W sercach pokoleń żyje i żyć będzie".

Każdy czyn, każdy wysiłek, trud każdy u Anczyca nacechowany był zawsze myślą piękną, obywatelską i z poczuciam odpowiedzialności zeń skojarzony.

Wesoły, pełen humoru, lubiący pożartować i pośmiać się — człowiek ten posiadał dziwny hart ducha, dzięki któremu w walce najstraszliwszej nie upadł nigdy, zgiął się jak trzcina, pod burz naporem, ale nie złamał i do końca wytrwał.

Karyera literacka Anczyca datuje się właściwie od dnia wystawienia jego pierwszych sztuk: „Chłopi arystokraci" i „Łobzowianie" *), które odrazu zdobyły sobie powodzenie niepoślednie.

Przyczyn tego powodzenia szukać należy nietylko w szlachetnej tendencyi utworów, nietylko w barwności efektownych scen i ciekawej charakterystyce postaci — ale i w stosunku twórcy do dzieł swoich: Anczyc miłował lud szczerze, miłował więc i utwory swoje, na tle życia ludu osnute, i tą miłością, tem ukochaniem przedmiotu tak sztuki swoje ożywić potrafił, że przemawiały wyraziście do serc i dusz publiczności, spragnionej widoku rzeczy pięknych, a nowych.

W roku 1856 napisał Anczyc „Błażka opętanego", wesołą jednoaktówkę ze śpiewkami, która również zasłużonem cieszyła się powodzeniem, acz nie tak wielkiem, jak np. „Łobzowianie", z których śpiewki, jak np. „Piękne goździki, cudne tulipany" do dziś słyszeć można nawet na ulicach Warszawy, w ustach dziewcząt, z klasy pracującej zwłaszcza, tak stały się popularne.

*) Pierwszemi chronologicznie sztukami były właściwie „Mośkowa na barykadach" i „Młockarnia wiedeńska", ale są to słabe tylko próby.

Dopiero w r. 1876 wystąpił twórca „Łobzowian" z większem dziełem: była niem skierowana przeciw wychodźtwu, wielka sztuka ludowa w 5-ciu aktach, na konkurs krakowski napisana.

Tytuł jej „Emigracya chłopska" — a o zaletach jej niewiele mówić potrzeba: któż nie zna tego efektownego obrazu! tego obrazu, pełnego życia prawdziwego, w którym usterek tak mało, a dobrego tak wiele?

To też sąd konkursowy nagrodził „Emigracyę" a publiczność entuzyastyczne zgotowała jej przyjęcie. I słusznie, gdyż, chociaż zgodzić się z tem trzeba, że arcydziełem nie jest żaden z utworów Anczyca, że w oświetleniu tegoczesnych pojęć, po przyłożeniu do dzieł owych dzisiejszej miary krytycznej — możnaby zarzut postawić nie jeden i „Emigracyi" i „Chłopom" i „Łobzowianom", że — jak to można zauważyć dziś — lud polski nie zawsze można taką, jak chciał Anczyc, drogą prowadzić do światła i dobrobytu i tak do niego przemawiać, jak twórca „Emigracyi" przemawiał, że to, co np. Anczyc za dobre dla tego ludu uważał i dostateczne,—dziś okazałoby się nieodpowiedniem zgoła — to jednak, mimo wszystko, były te sztuki w onej dobie niejako budzicielami śpiącego ducha ludu, jego latarniami na morzu ciemnoty, jego przewodnikami na drodze krętej i mgłami zasnutej..

Imię, jakie sobie Anczyc temi utworami wywalczył, utorowało mu drogę do dalszej karyery — do godności, dających nietylko tytuł, ale i chleba powszedniego kawałek, mianowicie — do redaktorstwa „Kalendarza Ungra" i pisma ludowego „Kmiotek" — a później i „Przyjaciela Dzieci".

Otworzyło się wówczas przed poetą pole pracy, na którem jego talent nie poszedł na marne.

Jako Kazimierz Góralczyk umiał do ludu przemawiać — i lud go słuchał i miłował, chętnie światłemu wpływowi znakomitego pisarza się poddając.

Był więc Anczyc jednym z pierwszych na tej drodze budzenia samowiedzy ludu pionierów, jednym z tych, co im się cześć i wdzięczność należy, bo, cokolwiek robili, robili z rzetelnego przekonania.

A była to doba, w której przemawiać do mas było niesłychanie trudno i ciężko — (1861—1866)—kiedy cały kraj był jak wzburzone morze, na które rzucona łódź roztrzaskiwała się najczęściej w drzazgi, nie mogąc dobić do brzegu.

I trzeba było dobrze umieć sterować i mieć wielki zapas silnej woli, aby w tych warunkach utrzymać się na stanowisku.

A jednak Anczyc się utrzymał.

Tadeusz Kończyc.

(Dokończenie nastąpi).

Z piśmiennictwa.

Wincenty Kosiakiewicz: „*Z powrotem.* Pamiętnik współczesnego człowieka". Skład główny u Gebethnera i Wolffa. 1908.

Psychologią nawrócenia możnaby nazwać ostatnią powieść Wincentego Kosiakiewicza. Autor wskazuje w niej ścieżki, któremi po utracie wiary, dusza dąży ku niej z powrotem. Jestto powieść tem ciekawsza i godniejsza zaznaczenia, iż w czasach kiedy bodaj dziewięćdziesięciu młodzieńców na stu traci wiarę, o czem mogą zaświadczyć prefekci szkół, literatura nasza zupełnie ignoruje te wewnętrzne walki i starcia młodych pokoleń. Pamiętnik Jana Woskiego jest przeto cennym, choćby z tytułu rzadkości uwag o faktach, nad któremi wisi powszechna niewiadomość.

Książka stanowi owoc długiego procesu myśli, zmagań się duchowych, zaleca ją przytem wielka szczerość i żarliwość apostolstwa, zasługująca na szacunek nawet wśród ludzi innych przekonań. Łatwy giest — wzruszenia ramion — właściwy jest powierzchownym sceptykom i płytkim niedowiarkom.

Jednem z ciekawych zagadnień, poruszonych w tem dziele, jest stosunek oddziaływań bezwiednych, kiełkowanie słów, rzucanych na wiatr; które niosą ziarno nadziei lub beznadziejnej rozpaczy, doprowadzającej niekiedy do samobójstwa.

„Od przechodnia, z którym zamieniliśmy sto wyrazów w jakimś krytycznym momencie naszego życia, uczymy się nieraz więcej, aniżeli od naszych urzędowych nauczycieli i profesorów. Idziemy przez świat, wzbudzając w bliźnich, o których się ocieramy, najrozmaitsze wrażenia, uczucia i sądy, z jakich jedynie mikroskopijnie mała cząstka wraca do nas w formie poznawanej".

A im życie człowieka jest potężniejsze, tem człowiek mniej wie, jaki wpływ wywiera. Rzadko bardzo wielki pisarz ma możność dowiedzieć się o skutkach dzieł swoich.

Człowiek nie może być pociągnięty do odpowiedzialności moralnej za zło, jakie uczyniło jego słowo lekkie jakiejś młodej, wrażliwej duszy, stojącej na czatach w oczekiwaniu nowej prawdy. Wszak nie można karać, jako mordercę, myśliwego o krótkim wzroku, który strzelił do zająca, a położył trupem naganiacza. Ale sumienie ludzkie powinno obejmować więcej, aniżeli sferę, zakreśloną promieniem odpowiedzialności. Powinna się w niem mieścić wrażliwość na całą sumę *zła możliwego*, do jakiego dana istota jest wogóle zdolna

A złem możliwem szafujemy nieświadomie od lat najmłodszych. W książce Kosiakiewicza znamienne momenty charakteryzują to działanie słów, padających nam w duszę w chwili przełomowej.

Jeden z tych momentów — epizodyczny. Jan Woski utraciwszy wiarę, spotyka młodego kleryka. Wśród rozmowy rzuca kilka najefektowniejszych argumentów przeciwko stworzeniu świata przez Boga. Kleryk słuchał w milczeniu, całym sobą, a potem spojrzał na mówiącego nienawistnie. W trzy miesiące potem porzucił seminaryum. W rok potem, co do dnia niemal — odebrał sobie życie.

Drugi moment — to chwila utraty wiary Jana Woskiego. Był w piątej klasie, miał lat szesnaście, kiedyś w rozmowie z rówieśnikiem wspomniał o Bogu.

— Bóg! Eh! kolego. Czy wy wierzycie w takie brednie!

Woski umilkł i struchlał, a po chwili pytał z niepokojem:

— Co? Wy nie wierzycie? Nie wierzycie w Boga?

— Któż rozsądny może dziś wierzyć?

Chłopak zwrócił się do towarzyszy.

— A wy? a wy?

Poruszyli ramionami.

— Jak wy możecie? Jak wy śmiecie? — zawołał groźnie.

Ale słowo rzucone kiełkowało i w jednym dniu, od rana do wieczora, zaszła w nim zmiana najbardziej rewolucyjna, jaka w duszy zajść może.

Istotnie. Jedno słowo może uczynić takie spustoszenie, a to zwłaszcza w wieku młodzieńczym, gdy wiara jest nam tylko — *słowem* szczepionem przez wychowawców, nie zaszczepionem jeszcze przez własne dochodzenie myślowe, przez życie.

A jakże przeciwdziała temu rodzina? Posłuchajmy, bo to ciekawe i, niestety, wzięte wprost z życia.

Matka oznajmia ojcu:

— Czy ty wiesz, że Janek w Boga nie wierzy.

— Co? co? — pyta ojciec oszołomiony.

— Tak! Tak! Nie wierzy w Boga. I rodzeństwu w głowie przewraca. Mania, Władek, chodźcie tu, powiedźcie sami ojcu.

Po skończeniu śledztwa ojciec zawołał:

— Janek! Chodź tu!

— Czy to prawda, że ty w Boga nie wierzysz?

Janak odpowiedział ze spokojem:

— Prawda.

Ojciec milczał, wreszcie wybuchnął gniewem:

— *Żebym ja nie wziął kija na ciebie! Ty nie myśl, że już jesteś dorosły!*

Takie bywają argumenty, używane w obronie wiary przez większość rodziców — a z jakim skutkiem, czyż mówić trzeba, czyż dziwić się można.

Dziecku *każe się* wierzyć, dlatego, że jeszcze nie jest dorosłym, *każe mu się* iść do spowiedzi!...

Ta scena krótka, opisana plastycznie i objektywnie, ileż budzi refleksyj.

Trzeci moment, zaznaczający wpływ słowa usłyszanego, a kiełkującego w mózgu, falą powrotną wpływa do duszy Jana Woskiego w chwili, gdy łamie się w nim niewiara, gdy filozoficzny sceptycyzm pozostawia na jej dnie osad goryczy, gdy rodzi się potrzeba otrząśnięcia z tego moralnego bezwładu. Wtedy to przypominają mu się słowa, które padły w jego ucho przed laty, a w sercu jego zrodziły echo w danym momencie. To przytoczona w rozmowie rada Pascala:

„Zacznijcie od praktyki. Chodźcie słuchać mszy. I kropcie się wodą święconą. Wiara przyjdzie potem"...

Jan Woski zdobywa ją powoli, piędź po piędzi, właściwie — pacierz po pacierzu. Zaczyna swe wątpliwości „rozmadlać", prowadzi kulturę nadziei.

Nagle w jego życiowym rachunku przychodzi pozycya niespodziewana: ukochaną kobietę wprowadził na drogę wiary — w dążeniu ku niej wyprzedziła go, i to właśnie stało się przyczyną ich stanowczej rozłąki: pani Dorota, w świetle roznieconych nanowo iskier, ujrzała swe obowiązki i pozostała przy mężu, zagrożonym ślepotą.

Komplikacya bardzo subtelna, obmyślana i odtworzona pięknie.

Wśród rozpaczy po drogiej kobiecie, Woski chciał *nie wierzyć*, i już nie mógł. Świadomość spłynęła na niego nagle, pod sklepieniem kościoła. Odtąd miejsce prawd, które go kruszyły, na marny proch ścierały, zajęła prawda, która pokrzepia, uskrzydla. Zaczął odkrywać w świecie porządek i cel, zrozumiał, że „i zło ma swoją rolę: wskazuje na dobro; że i cierpienie jest użytecznością: ukazuje kraj niezawodnego szczęścia. I niesprawiedliwość jest wskazówką — powiada o konieczności sprawiedliwości ostatecznej".

Idąc drogą filozoficznego rozumowania, doszedł do wiary; droga rozumowań doprowadziła go do uznania religii ustanowionej, do poddania się autorytetowi katolicyzmu.

I to właśnie stanowisko czyni książkę Kosiakiewicza ciekawą i niezwykłą.

Zarzucić można wszelako autorowi, że kazał Woskiemu umrzeć za wcześnie, bo w chwili właśnie, gdy po dłuższych studyach zagranicą, powrócił do kraju z zamiarem rozpoczęcia pracy i akcyi w kierunku mu drogim.

Taki fatalny epilog dążeń, trafia się często w życiu — nie powinien był wyniknąć z książki, miałaby bowiem podwójną wartość, gdyby nawrócony mógł wykazać, co zdziałał przy pomocy i religii i wiary. Albowiem nie są one li tylko przyzwoleniem inteligencyi na pewne formuły prawdy, winny być życiem i działaniem wedle tej prawdy.

Wierze gorliwiej odpowiadają nie same tylko obowiązki religijne, lecz i obowiązki społeczne, a tych Jan Woski nie spełnił.

Eugenja Żmijewska.

PROF. M. KOWALEWSKIJ.

Narodowość a równouprawnienie.

Pół azyatycka Rosya Iwana III i Iwana IV stała się państwem europejskiem i rozpostarła się od skał fińskiego wybrzeża aż do południowej Kolchidy, nie dlatego, że naród rosyjski mógł czapkami swoimi zarzucać przeciwników, ale dlatego, że ludom podbitym przyrzeczoną była ta równość przed prawem i uwzględnianie odrębności właściwych ich narodowi, na podstawie której głosi się o korzyściach poddaństwa rosyjskiego, wymienionych w paragrafie 45, pierwszego tomu rosyjskich praw zasadniczych. Piotr I był bezwzględny, lecz był przytem mądry, dlatego też wiedział, że ludzie pokroju Brusa i Szlippenbacha, mówiąc po szwedzku, mogą być bardzo dobrymi sługami mocarstwa rosyjskiego, i że rosyjskie szlachectwo nie poniesie żadnej straty, przyjmując do szeregów swoich murzyna Hannibala i żyda Szafirowa. Katarzyna II, której wielkość opiewał nietylko poeta Dierżawin, była uczennicą filozofów XVIII wieku. Aby napisać swoje „Instrukcye“ nie cofnęła się, jak twierdzi sama, przed myślą zapożyczenia się u Montesquieu'a i Beccaria, lecz czyniąc to, nie mogła nie przejąć się myślą, że państwo współczesne zbudowane jest zarówno na zasadzie powszechnej rowności przed prawem, jak i na podporządkowaniu temu prawu wszystkich stopni sfer rządzących. Już przy pierwszym rozbiorze Polski przyrzeczona została wszystkim ludom podbitym, równa obrona prawa i szacunku dla ich wiary i języka Jeżeli Piotr dawał wszystkim cudzoziemcom, wzywanym na służbę rosyjską, nadzieję, że oni, dzieci ich i wnuki, nie będą zmuszani do odstępstwa, to Katarzyna wprost dbała o to, aby wszystkie ludy Rosyi, chwaliły Boga wszechmogącego w rozmaitych językach, podług praw i wyznań praojców swoich i błogosławiły jej panowanie, modląc się do Stwórcy wszechświata, o pomnożenie wszelkiego dobra i wzmocnienie siły cesarstwa wszechrosyjskiego. Jeśli wogóle hypoteza rozwoju społeczeństw ludzkich zdoła wywołać w umyśle ludzkim wątpienie, to tembardziej wówczas, gdy przeciwstawimy dążeniom cara reformatora i mądrej Felicy takie prawa, jak ograniczenie procentowe żydów w wyższych zakładach naukowych, jak niedopuszczanie ich do katedr profesorskich, służby wojskowej, i kąryery adwokackiej. Nietylko nad żydami rozciąga swe panowanie ta polityka. Cierpią z tego powodu Polacy, nad którymi również wisi groza ograniczeń procentowych w uniwersytetach rosyjskich. Dosyć wspomnieć o niedawnych prześladowaniach studentów rozmawiających w Warszawie po polsku, o wykładaniu im literatury polskiego języka w języku rosyjskim i t. d.; trudno w to uwierzyć, wstyd ogarnia Rosyan, wstyd za nieufność do misyi historycznej narodu rosyjskiego, wstyd, że 130 milionowy naród, zajmujący jedną szóstą lądu stałego, którym można przejechać dziesiątki tysięcy mil, posługując się li tylko rosyjskim językiem, że naród tak potężny, ucieka się do tak drobnostkowych, zarazem śmiesznych, a praktycznie nieziszczalnych środków, jak narzucanie swego języka i swojej religii, stosunkowo tak nielicznej garstce ludzi, fanatycznie ceniących odrębności swego języka i religii, jako jedynej puścizny świetnej ongi przeszłości historycznej. Mnie kwestya stosunku rządu rosyjskiego do inoplemieńców i inowierców męczyła i niepokoiła, podczas moich dwukrotnych wycieczek po Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. Kogo tylko spotykałem: szwedów i francuzów, niemców i czechów, polaków i litwinów, rosyjskich żydów i Bóg jeden raczy wiedzieć kogo jeszcze, nikt nie bronił im mówić i modlić się w swoim języku, nikt nie zmuszał ich do nauki języka angielskiego. Tymczasem niemcy, tak pilnie przestrzegający zachowania odrębności narodowych, często mi mówili że oddają dzieci swoje do szkół angielskich, aby im ułatwić walkę o byt. Polacy, tak niechętnie rozmawiający z rosyjskiemi obywatelami w innym języku, jak w polskim lub francuzkim, powszechnym wszystkim cywilizowanym narodom, rozmawiali ze mną po angielsku zarówno w Nowym Jorku i w Chicago, a Francuzi w Nowym Orleanie i w Saint-Louis, zapominają częstokroć swojego narodowego języka. Żydzi rozmawiali ze mną po rosyjsku, chcąc mi tem sprawić przyjemność, zapraszali mnie do swego teatru żydowskiego, abym mógł posłuchać sztuk Ostrowskiego, granych w żydowsko-niemieckim żargonie.

A wszyscy oni, lepiej lub gorzej, mówili po angielsku, i znajomość tego języka, pozwalała im porozumiewać się i dawać sobie radę w charakterze subjektów w kantorach bankierskich, składach hurtowych, adwokatów, notaryuszów, bibliotekarzy i profesorów. Cudem nieledwie, niedawno jeszcze stany hiszpańskie, jak Texas lub południowa Kalifornia, stawały się angielskimi; przyczyny tego zjawiska nie należy bynajmniej upatrywać w świadomem prześladowaniu języka hiszpańskiego przez władze; okazało się poprostu, że w życiu społecznem niepodobna było obejść się bez języka angielskiego i pierwiastków kultury, zaszczepionej tam przez pierwszych wychodźców z Wielkiej Brytanii.

Cóż przekształciło ten pstry tłum emigrantów z całego świata — w naród anglo-amerykański? Nie pułapki policyjne dla tych, którzy przypadkiem odważą się mówić językiem ojczystym — lecz wygłaszanie w języku angielskim zasad wolności, związanych z imionami Szekspira, Franklina lub Jeffersona.

Pomimowoli mnie, jako Rosyaninowi, zrobiło się dziwnie na duszy na myśl, że język Puszkina i Tołstoja, nasz giętki, bogaty język rosyjski który dla Turgeniewa był pocieszycielem „w chwilach tęsknoty“, że ten język nie potrafił utrwalić jedności rosyjskiej, że nie doprowadził do legalności i równouprawnienia wszystkich narodów. Równouprawnienie wszystkich narodowości! I pomyśleć, że dla Rosyi lekcya, jaką dała światu rewolucya 1848 r. przeszła bez śladu; a przecież było to zarówno powstanie klas nieposiadających przeciwko posiadającym, jak i powstanie narodowości uciśnionych przeciwko posiadającej. Widocznie nasi mężowie stanu nie pamiętają, że prowincye włoskie oderwały się od Austryi, z chwilą kiedy państwo to zamierzało zrobić z obywateli włoskich niemców; widocznie sfery rządzące, zabraniając niemcom uczyć się po niemiecku w uniwersytecie założonym za niemieckie pieniądze, a polakom broniąc komentować Mickiewicza po polsku, zapomniały, że rozruchy w Pradze Czeskiej i Zagrzebiu uspakajały sie z chwilą załatwienia, nawet częściowego, spraw narodowościowych. W Austryi, której nasi panslawiści chętnie nadają miano „zgniłej“, zarówno węgier, jak i czech lub polak otrzymują wykształcenie w języku macierzystym, a całość państwa na tem nie cierpi; to samo dotyczy Chorwatów w Zagrzebiu, a w pewnej mierze i rusinów we Lwowie. Wszak historya Małorosyi posiada we Lwowie osobną katedrę, obsadzoną przez magistra uniwersytetu kijowskiego, który wykłada przedmiot ten po rusku, podczas, gdy na przedostatnim zjeździe archeologów w Odesie, przedstawicielom rusinów galicyjskich zabroniono wygłaszać referaty naukowe po rusku.

Oto słowa nie agitatora szkodliwego a zachowawczego ministra austryackiego, — barona Eötvös'a: „nad epoką współczesną panują trzy idee: wolność, równouprawnienie i idea narodowa, przeniknięta poczuciem przynależności do wspólnej całości“. Poczucie to opiera się na czynnikach rozmaitych, jak wspólny język i rasa, wspólna przeszłość historyczna i wspólne interesy. Nie ulega kwestyi, że czynnik rasowy nie odgrywa roli najważniejszej. Badania antropologiczne i etnologiczne dowiodły już dawno, że czystych zupełnie ras niema. Jeżeli bowiem we krwi łacińskiej włochów znajdujemy domieszkę nie tylko aryjską, etruską, ale zdaniem Sergi i czarną— etyopską, to łatwo się domyśleć, jak mieszane rasy zamieszkują Francyę, Anglię, a zwłaszcza Rosyę, gdzie plemiona fińskie i tatarskie krzyżowały się ze słowianami i waragami. Przeszłość narodów stanowiących jedną rasę była niekiedy tak burzliwa, że rasa jako taka, nie zawsze jest w stanie podtrzymać w nich uczucie solidarności i odosobnienia.

Rozprawiamy wiele o kwestyi ormiańskiej; dla mnie, który z blizka stykałem się z głównymi działaczami, jest rzeczą jasną, że nie marzą oni bynajmniej o wskrzeszeniu państwa ormiańskiego, które rozpadło sią jeszcze za czasów wojen krzyżowych — wskrzeszone przez te ostatnie na czas krótki. Przedewszystkiem, sprawa ormiańska, to kwestya życia, to obrona przed systematycznem tępieniem, mającem na celu obniżanie odsetki ludności nietureckiej w niektórych paszalikach. Wiadomo bowiem, że od r. 1875 i na podstawie Kongresu berlińskiego od wysokości tej odsetki zależy wybór między administracyą turecką a europejską w danym paszaliku. Kwestya ormiańska wiąże się ściśle z zachowaniem resztek wysokiej kultury, która na wschodzie muzułmańskim stanowić powinna puściznę bizantyjskiego chrześcijaństwa, oraz rzymsko bizantyjskiego prawa i sztuki.

Spolszczyła *J. W.*

(Dokończenie nastąpi).

M. M. WINIARSKI.

Gdy się kocha...

(Z NIEPRZESŁANYCH LISTÓW).

(Dokończenie).

Za wyznanie wczorajsze wart jestem uduszenia tasiemką twego wytwornego gorsetu. Zgadzam się najzupełniej na ten rodzaj śmierci, lecz nim ją poniosę, posłuchaj jeszcze mej ostatniej opowieści...

Był dziki, nieufny, samotnik... Wśród niedostępnego tylko krążył boru, w oczeretach skrywał się bezbrzeżnych. A gdy schodził do ludzi, co mu się niekiedy zdarzało, miał dla nich twarz ostrożną i pełną lęku...

Takiego właśnie, gdy śpiewał hymn do nieugaszonej tęsknoty, przywabiono spojrzeniem, pełnem jedwabnego oklasku.

Pochodził od... Pani.

W chwili, gdym go słuchać zaczął, spłoniony i drżący, czy przypuszczałem, że się to wszystko tak beznadziejnem przekrwieniem mego serca skończy.

Takie zaś przekrwienie serca w języku codziennym nazywa się zakochaniem bez pamięci. Wraz z niem przyszły wnet chwile szału, zniecierpliwienia... W jednej z najsroższych takich napisałem ów list przedostatni, rozpaczliwy jak wzrok człowieka, uwieszonego nad przepaścią...

Od tej chwili strofy mi się wikłać zaczęły i plątać. Czułem to, jak się czuje trzeszczenie dachu, który nam za chwilę ma runąć na głowę.

Więc przyśpieszyłem sam katastrofę. Wolałem to, niż dławiącą niepewność, od której już zmysły tracić powoli zaczynałem.

Tak porwał się w strzępy nasz złotogłów marzeń a z nim porwały się nici złote, któremi były spojone nasze, tak cudnie choć zarazem tak beznadziejnie rozkochane, istności...

*

* *

Finale...

Akord jeden... drugi... trzeci...

Jakiś duch dobry po klawiszach wspomnień pieszczonemi palcami błądzi i gra...

Śmieje się przez łzy, to znów łka, flażyoletami psoci, skarży się, tęskni... gra... i rozmarza...

Dziwnie upajająco rozmarza...

Lecz nie!... Rozumu, rozsądku, zastanowienia, czułej ale niemiłosiernie trzeźwej wagi aptekarskiej...

Na jednej położyć serce, prężące się od nadmiernej tęsknoty i wylękłej rozkoszy wyczekiwania a na drugiej samobójczy rozsądek i zastanowienie, oboje razem tak ciężkie, jak bezduszny kamień albo sumienie lichwiarza...

Przeważył kamień...

Więc opróżnić szalkę, gdzie serce.. Zrzucić ten kawał drgającego mięsa, oplątanego misternie nerwami, jak srebrną siecią. Cisnąć na rondel kucharce — ironii...

Beefsteak!... Beefsteak będzie panowie i panie!... Zaraz po majonezie... Taki po angielsku, jeszcze krwawiący, jeszcze z utajonemi resztkami życia.

To nic, nic... Nożem po nim ze stali, solidnym, wyprawnym...

Że tam coś pod zgrzytem noża o talerz jęknęło, jakieś beznadziejne „kocham!...“ zaskowyczało, to nic, nic...

Głupstwo... Zagłuszyć to rozmową o pogodzie, która osusza naokół błota w okolicy, o pałacu poblizkim, gdzie są komnaty całe futrem wyścielane, o nocach, światłem księżyca haftowanych, które się kończą świtem, chłodem i zwarzeniem...

Zagłuszyć, zagłuszyć...

*

... właściwie, to chciałem Pani przesłać jeszcze taki banalny, przeciętny ostatni list, taki nic nie mówiący jak cennik win, odczytany jeszcze zaspanemi oczyma. Miał być naprawdę niezłożony, prosty, nieciekawy, taki pierwszy z brzegu, jak ciastko z torciku, wykrojone sumiennie nożem cukiernika z przeciwka.

Czemuż nie umiem pisać listów ciężką, niezgrabną ręką spędzacza wołów. Jakżebym pragnął...

Nie potrafię...

Tyle zygzaków myślowych... Wiem... Ale musisz przebaczyć. Ucieszny arlekin, cierpiący na przeczulenie worka sercowego, bywa w ceremoniach pogrzebnych bardzo śmieszny i... smutny...

Ten list ostatni właśnie jest taką ceremonią pogrzebną...

*

Przełamało się we mnie wiele rzeczy od czasu, gdy Cię poznałem. Nawet pokory nauczyłem się dla Ciebie. Tylko dla Ciebie ..

Oto oplatam się natrętnie myślami w koło Twej wiotkiej postaci i marzę...

Warta jesteś wciąż marzenia...

Pamiętasz?... Mogłaś mnie przygarnąć, nareszcie... w końcu... po miesiącach szalonego wyczekiwania... wyczerpanego i szczękającego z zimna... skinąć jednym nieznacznym odruchem swej drobnej, ciepłej dłoni i uwieść do siebie na rozkosz, na szczęście niekończących się upojeń, na szał...

Z płonącemi oczyma przysięgałbym, krwią nabiegłemi usty zwilżałbym Twoje stopy i jak w szmer fontanny podczas spiekoty, wsłuchiwałbym się w twe aksamitne, ciche słowa, szeptane mi do uszu...

— Mój... taki mój... rozkochany, ufny... niezepsuty!...

*

Liryzm, znów ten okropny, przeklęty liryzm... Przepełnił mi serce dziwacznie i wciąż się zeń przelewa...

Ja zaś chcę być trzeźwym, strasznie trzeźwym, jak postać komornika w chacie wdowy z sześciorgiem dzieci...

Pani mój liryzm mógłby tylko zaszkodzić. Pani w tej chwili się leczy, potrzebuje spokoju, równowagi...

Przyszedł Pani kaprys jedwabnej bezmyślności. A że nasze kochanie trudno było z takim kaprysem pogodzić, więc mnie pozostawiono swemu losowi...

I znów mi zimno, tak zimno, jak biednemu Tomkowi u boku króla Leara...

I dlatego ten list mój ostatni taki szczękający...

*

Tylko nie marszcz tak Twych przepięknie narysowanych brwi i daruj mi z królewską wyniosłością humorek szczenięcia, które za chwilę ma być utopione. Takie skomlenie skrywa w sobie niekiedy jęk beznadziejnie przejmujący...

Ale Ty się nie przejmuj...

Myślmy lepiej o brzozach, ucharakteryzowanych na cyprysy, o grzmotach blaszanych, o krwawym refleksie, jakim prześwietla sok malinowy...

Takie myśli działają tak uspokajająco, tak kojąco...

Przynajmniej spocznę — jak mówiła śmiertelnie zgoniona szkapa dorożkarska, zapadając się umęczonem cielskiem w dół z niegaszonem wapnem.

Spocznę, spokojny, z półuśmiechem Greka, bawiącego się cykutą po powrocie od Diotymy, ponętnie słodkiej hetery, która mu ofiarowała swą miłosną pieszczotę za... cenę jego własnego życia...

*

Że takie przejścia nie pozostają jednak bez śladu... Istotnie... Przychodzi po nich moralny katar...

Do wyleczenia... Bierze się kompres rozsądku, silnie wykręcony pessymizmem, umieszcza się go pod piątem żebrem po stronie lewej na piersi a potem... potem pakuje swą ziemską powłokę do łóżka bezmyślności i to na jak najdłużej.

Z pewnością pomoże...

A jeśli nie?...

To się zrywa z łóżka, podchodzi do okna, otwiera je na wiosenny sad marzeń i długo, długo... wpatruje w srebrną poświatę księżyca...

Tylko musi być wokół cicho, bardzo... bardzo cicho...

Aż się znów w duszy coś rozegra...

Już gra...

Jakiś duch dobry po klawiszach wspomnień pieszczonemi palcami błądzi i gra...

Śmieje się przez łzy, to znów łka, flażyoletami psoci, skarży się... tęskni... rozmarza... i gra...

Finale gra...

KONIEC.

Figurka z porcelany.

Miałem figurkę z porcelany,
Cudne oczęta, buziak z róż,
Jak żywy taki roześmiany
I jasny jak świt zórz!

Ha — nawet byłem zakochany
W cudnej figurce z porcelany.

Mówiłem czasem mojej pani,
Do uszka, słodkich roje słów,
Aż w pożegnania smutnej dani
Dałem jej kwiatek bzów,

Bo już nie byłem zakochany
W cudnej figurce z porcelany.

Zacząłem szukać wkoło siebie
Prócz ładnych ocząt serca też,
Znalazłem! w raju byłem, w niebie,
Kiedy mi rzekła: «Kochaj, wierz».

Wierzyłem, że tych ust korale,
Myśli głębinę muszą kryć,
Niedomówione jakieś żale
W tym sercu muszą żyć.

Niedługo trwał mój sen na kwiatach,
Niedługo! smutny wracam już
Do mego w malowanych szatach
Buziaka z jasnych zórz,

Bo widzę żem był zakochany
Znowu w figurce z porcelany.

Wanda Nawrocka.



GŁOSY CZYTELNICZEK.

Tak lepiej.

(Odpowiedź na artykuł Matki-Polki M. B. S. w N-rze 29 „Bluszczu").

„Smutek patrzący w przeszłość jest bezradny".

Szanowna Matko-Polko M. B. S.!

Skarżysz się Pani, zarazem i konstatujesz fakt, że córki nasze tak daleko od nas odbiegły. Głos Pani, to głos ogółu, a przynajmniej $^3/_4$ ogółu matek, które mają dzisiaj córki dorosłe—dodajmy wykształcone. Chciejmy tę rzecz rozważyć na zimno, — czyja w tem wina?

Córki nasze uczą się więcej niż my uczyłyśmy się dawniej. Uczmy się razem z niemi.

Porywają je prądy nieznane nam matkom? — nie potępiajmy ich z góry, nie znając owych prądów, ale zacznijmy od a b c w tym kierunku i dążmy wytrwale za córkami naszemi, a staniemy się nie idealistkami zacofanemi, lecz postępowemi kobietami, z któremi córki chętnie i ciekawie dysputować będą, albowiem argumenty nasze poprzeć będziemy mogły faktami z życia, które mamy za sobą.

Czytajmy i myślmy, — myślmy i czytajmy, a gdy pójdziemy krok w krok za dziećmi naszemi, nie będziemy się skarżyć na rozdźwięk między młodymi, a starymi.

Artykuł Szanownej Pani czytałam wspólnie z dwiema memi córkami, już zamężnemi, z których, zwłaszcza młodsza, zaledwie od paru lat mężatka, jest kobietą zupełnie nowoczesną.

One to zachęciły mnie do odpowiedzi.

Mam dwóch synów, prawie już skończonych ludzi, oni również z całą przyjemnością rozmawiają i dyskutują ze mną o każdej kwestyi, z każdej dziedziny.

Nie w celu samochwalstwa piszę te słowa, ale w celu wskazania matkom jedynego środka, broniącego od zostania na starość bezdzietną duchowo, a to jedna z najstraszliwszych niedoli.

Żeby jej uniknąć nie pozwalajmy zardzewiać umysłom naszym w pogoni za pustemi towarzyskiemi rozrywkami, modnymi fatałaszkami, za kulinarnymi przysmaczkami, płaskiemi ploteczkami, które najczęściej bliźnich naszych czernią, — ale z zazdrością kochanka śledźmy rozwój umysłu i ducha dzieci naszych, idźmy wytrwale z niemi na wyżyny, szczebel po szczeblu, — zstępujmy z niemi do najgłębszych otchłani stopień po stopniu, odważnie, powiem bohatersko, jak Matka-Polka potrafi.

Nie wydrą nam dusz naszych dzieci ani koledzy i koleżanki, ani przyjaciele i przyjaciółki, ani żadna potęga ziemska, bo gdy im zawsze duchowo i umysłowo dorównywać będziemy, możemy być spokojne, że dusze dzieci naszych z nami pozostaną.

Więc uczmy się, czytajmy i myślmy, ciągle i zawsze — starajmy się mysleć razem z dziećmi naszemi, a zwyciężymy napewno.

Jedna z Matek
F. M.

Przegląd teatralny.

Upały letnie zawsze publiczności warszawskiej dostarczały gotowego pretekstu do omijania teatralnych progów. Ale dawniej przenosiła się przynajmniej w tym czasie sztuka dramatyczna z poważnych, stałych swoich przybytków pod zieleń drzew, na prowizoryczne ogródkowe sceny i scenki i lekką strawą trzymała na dyecie duchowej przesycone przez zimę mózgi teatralnych bywalców.

Dziś — czasy się zmieniły. Niema teatrów ogródkowych, niema i teatralnych bywalców. Jest tylko przygodna publiczność, która od czasu do czasu przypomina sobie teatr dla mody lub fantazyi, by za chwilę dla nowego kaprysu, lub obawy przepracowania mózgów, wyjść z teatru na — walki atletek w Promenadzie, albo kuplety różnych Bronowskich i Ludwikowskich w „kabarecie".

Nic też dziwnego że w letnim sezonie — bez względu na to, czy jest kanikuła czy jej niema — słabnie artystyczna praca na scenach.

I w tym roku wyraźnie tego dowodzi repertuar Teatrów Warszawskich. Ani w dramacie ani w komedyi nie ukazało się nic, coby na miano sztuki poważnej zasługiwało.

Przedewszystkiem poszły wznowienia starych sztuk z powodu gościny pani Przybyłko-Potockiej. Dla kogoś, co dalej stoi od teatru i warszawskiego bruku, słowo „występy gościnne" oznacza nową artystyczną atrakcyę w postaci znakomitego jakiegoś i interesującego talentu gościa, którego w zwykłych warunkach nie widuje się na naszej scenie.

Ale Teatry warszawskie stały się od pewnego czasu wielkim aktorskim hotelem. Przyjeżdżają tam w „gościnę" różne artystki i artyści, mający parę dni lub tygodni wolnego czasu i chęć zarobienia pewnej sumy pieniędzy. „Gościom" tym powodzi się bardzo dobrze i „bawią w gościnie" całemi miesiącami. Najczęściej mieszkają nawet stale w Warszawie i co pewien czas wybierają się z tej lub owej ulicy w „gościnną podróż" do zajazdu pod filarami na Teatralnym placu,— kiedy im braknie pieniędzy na wyjazd do... Zoppot lub Nizzy.

Pani Przybyłko-Potocka należała przed rokiem jeszcze do najpoważniejszych i najwyżej cenionych sił naszej „pierwszej“ sceny, ale — zepsuło się coś w stosunku pomiędzy nią a dyrekcyą i... po ekspiracyi kontraktu wyjechała na prowincyę z własną truppą i sztukami, w których kreowała ostatnie swe role. Powróciwszy z tej tournée, w której niczego przecież nowego nie nauczyła się — rozpoczęła „gościnne występy“ w Rozmaitościach...

Dla artystki lub artysty zasadą artystyczną do występów gościnnych — poza pieniądzem — powinna być świadomość, że ma się coś nowego i godnego widzenia do pokazania na scenie, ten sam wzgląd powinien kierować dyrekcyą, która gościny udziela. Ani dyrekcya jednak, ani p. Przybyłko-Potocka nie troszczyła się o to. Artystka — świetna zresztą jak zawsze — grała w „Żabusi“ Zapolskiej, „Nocy lipcowej“ i „Bagienku“ Gorczyńskiego tak, jak grywała rok i dwa lata temu. Na to — nie potrzeba było aż... „gościnnych występów“.

Nowa dyrekcya eksperymentów takich unikać zapewne będzie. Prezes, p. Małyszew, dotychczas robi wrażenie człowieka, który doskonale wie, do czego i jaką drogą zmierza Nic nie upoważnia do przypuszczeń, aby energia i działalność jego rozproszały się w eksperymentach obmyślanych na prędce i na krótką metę, albo żeby ograniczały się na samem tylko uporządkowaniu finansowej gospodarki teatrów. Dotychczas wprawdzie wiadomości dziennikarskie o mianowaniu nowych reżyserów i o projekcie utworzenia artystycznego kierownictwa nie zadawalniają poważnych wymagań, ale — brak ze strony nowej dyrekcyi kategorycznego zawiadomienia, jak naprawdę ma się ta ważna sprawa załatwić.

Reżyserem głównym został p. Kazimierz Kamiński, pomocnikiem jego p. Śliwicki. Wybór ten, biorąc zasadniczo, nie będzie zapewne zły, o ile między obu reżyserami dokonany będzie stosowny podział pracy i o ile utrzymane będzie poza nimi właściwe i poważne kierownictwo artystyczne.

O tem właśnie kierownictwie krąży dużo plotek.

Podobno mają być tylko powołani jacyś „lektorowie“ do czytania i „polecania“ sztuk, o niewiadomym wpływie i władzy. Nie chce mi się wierzyć, aby tak załatwiono tę sprawę stosunku literatury do sceny, bo załatwienie to byłoby rażącym błędem. U nas prawie niema artystów, którzyby posiadali w literaturze scenicznej i w znajomości sztuki z ogólnego punktu widzenia odpowiednie kwalifikacye do kierownictwa samodzielnego, nie leży to zresztą w ich zawodzie artystycznym, jakkolwiek się z nim styka. W największym artyście jest zresztą kawałek aktora, choćby najmniejszy, ale wystarczający zupełnie, aby sztukę traktować subjektywnie t. j. *od strony sceny*, a nie *od strony widowni*. Dlatego kierownikiem teatru i reżyserem w jednej osobie może być wyłącznie tylko człowiek, będący artystą twórczym i pisarzem poza sceną. Gdzie tego niema — rozdział kierownictwa artystycznego od reżyseryi jest rzeczą konieczną, dla dobra teatru i sztuki.

Nie przesądzajmy jednak przyszłości. Pragnę wierzyć, że tego błędu uniknie nowa dyrekcya.

W ostatnim tygodniu jako premiery wystawiono w teatrze warszawskim jednoaktówkę B. Gorczyńskiego p. t. „Frania“ i „Odbijanego“ W. Rapackiego.

„Frania“, to drobiazg pod względem tematu i faktury. Jeden i druga nie nowe, dość nawet zużyte na scenie. Znać w tym drobiazgu śmiałą pewność siebie Gorczyńskiego, jego talent w obserwowaniu typów ludzkich i strunę sentymentu świeżo znowu u niego dźwięczącą — ale wszystko to w miniaturze i na „domowy użytek“.

„Odbijanego“ Rapackiego jest kunsztowną komedyą, osnutą na historycznej sylwecie osławionego starosty Kaniowskiego, ale i charakter tej postaci i fabuła sztuki, w scenicznem napięciu ujęte fałszywie, prawie z nuty melodramatu, pomimo że temat co najwyżej do rubasznej i groteskowej nadawał się rozmaszystości. Starosta Kaniowski jest w pewnem dalekiem powinowactwie z Falstaffem, ale niemiał nigdy ani jednej kropli krwi Ludwika XI albo Iwana Groźnego w swych szlachecko sowizdrzalskich żyłach! *).

Grano te rzeczy nieszczególnie. Tu właśnie widać było, że kierował wystawieniem aktor a nie dramaturg.

Po za tem wznowiono „Barbarę Radziwiłłównę“ Felińskiego w Letnim teatrze i „Ich czworo“ Zapolskiej; — w przygotowaniu dla p. Przybyłko-Potockiej, jako najświeższa „nowość“ jest, grana ze czterdzieści razy w zeszłym roku w Teatrze Małym M. Gawalewicza, „Aszantka“ Perzyńskiego.

Na repertuarze jest dalej „Hrabina Cosel“ Kozłowskiego i „Dyabeł“ Mollnara, w którym wystąpi Kamiński.

Ten „repertuar“ teatralny—to straszne doprawdy słowo w uszach ludzi bliżej teatru stojących, w tych ostatnich czasach.

Krytyka wymyśla wciąż na repertuar — publiczność wzdycha, żądając jakichś nowych i nieokreślonych gruszek na wierzbie — łamią sobie głowy kierownicy teatrów.

Po każdej sztuce recenzye dziennikarskie brzmią znowu prawie na jeden zasadniczy ton: „dobre to, ale... chcielibyśmy czego innego“.

Czego jednak chcą — nikt nie potrafi czy nie chce określić. Wzdychają tylko i wymyślają na repertuar obcy.

Repertuar zagraniczny jest w danej chwili z punktu sztuki czystej — bardzo poważny. Niepodoba się jednak u nas.

Dlaczego?

*) Sztuki kontuszowe, takie jak „Odbijanego“ nie bawią, a smutne wywołują wrażenie. Bezmyślna rąbanina, znęcanie się nad niewinnymi, głupota, pijaństwo, zamiast krzepić, budzić dla przeszłości poszanowanie, budzą tylko gorzkie refleksye.

(Przyp. Red.).

Myślę, że dlatego jedynie, iż jest on repertuarem społeczeństw *sytych* a my — jesteśmy bardzo *głodnem* społeczeństwem.

Łakniemy sztuk, w których dźwięczałby nietylko ten sam głód duchowy, jaki mimowiednie i mimowolnie sami odczuwamy ale, na które patrząc, moglibyśmy rozkoszować się własnem cierpieniem, przeżywać znowu i jeszcze raz znowu ten srogi a jednak kochany ból, który wyżera nam skłonne do roztkliwiań nad sobą samym słabe, niewieście serca!

Dlatego tak podobają się sztuki rosyjskie. Chorzy jesteśmy...

Zamiast się karmić nauką czynu, zamiast się śmiać mężkim śmiechem z przeciwności życiowych — wolimy wzdychąć i płakać...

Teatr Mały M. Gawalewicza w ostatnich dwóch tygodniach prócz wznowień nieśmiertelnej „Moralności pani Dulskiej“, „Dnia zadusznego“, „Podczłowieka“ i „Matki i córki“, dał znowu dwie dobre i ciekawe sztuki: „Dzika“ Maurycego Soulié i „Piekielnicę“ H. Tovote'go. W obu sztukach grał p. Adwentowicz gościnnie.

„Dzik“ jest doskonałą, głębiej pomyślaną, choć swobodnie i lekko zrobioną sztuką o nowym pomyśle, ciekawych sytuacyach, interesujących postaciach i bardzo dobrej scenicznej fakturze. Wbrew „krytyce“ warszawskiej śmiem utrzymywać, że sztuka ta, którą Gawalewicz zdołał wcześniej wystawić niż sam nawet Renaissance paryzki — będzie się bardzo podobała wszędzie po za Warszawą. P. Adwentowicz stworzył w niej typ sympatyczny i miły, podkreślony psychologicznie, jak zawsze u tego artysty, ściśle konkretny i dojrzały.

„Piekielnica“ Tovote'go (inaczej „Nie puszczę cię!“) jest sztuką ciekawą. Jako pomysł i jako literacki rodzaj. Typ kobiety-histeryczki, przechodzącej od jednego do drugiego uczucia z kameleonową łatwością — typ egoistki, lekceważącej wszystko i wszystkich i mającej wieczne do całego otoczenia pretensye. W fabule scenicznej typ ten umotywowany jest bardzo gruntownie i tragiczne rozwiązanie (zabójstwo kochanka) jakkolwiek w pierwszej chwili wydaje się potworną szarżą autora, jest naprawdę konsekwentnym wynikiem takiego właśnie charakteru. Tło sztuki rysowane z kolorystyczną plastyką, podobnie jak typy ubocznych, ożywiających akcyę postaci.

„Piekielnicę“ grała p. Wanda Jarszewska, młoda, bardzo obiecująca siła, którą na scenie Małego Teatru znów wyrobiła i ukształtowała artystyczna dłoń dyrektora Gawalewicza: artystka złożyła egzamin w sposób chlubnie świadczący o jej talencie i stwierdzający raz jeszcze te jedyne poprostu w Warszawie, artystyczne, poważne kwalifikacye kierownika Małego Teatru. Świadczyło o tem zresztą znów wystawienie „Piekielnicy“ z drobiazgową maestryą w *mise en scène* każdego aktu, każdej sytuacyi. Świetnym partnerem p. Jarszewskiej był p. Adwentowicz, który z roli swej, przez autora trochę blado traktowanej, potrafił wydobyć i ciepły bardzo ton i realizm zgodny z rodzajem sztuki i charakter zupełnie wyraźny.

Czekan.

Kronika działalności kobiecej.

Ruch kobiecy za granicą.

W ostatnich dniach Czerwca r. b. odbył się w Amsterdamie międzynarodowy kongres kobiecy w sprawie głosowania. W kongresie wzięło udział 16 krajów: Australia, Kanada, Dania, Niemcy, Finlandya, Anglia, Węgry, Włochy, Norwegia, Rosya, Szwecya, Stany Zjednoczone, Kolonie Kaplanda, Szwajcarya i Bułgarya. Niektóre miasta w Norwegii i Australii wysłały delegatki na koszt miejski.

Urządzeniem zjazdu zajmowała się holenderska liga głosowania kobiet, licząca około 4000 członków. Królowa Wilhelmina zapytywana poufnie oświadczyła, że niemoże wziąść żadnego udziału w zjeździe. Natomiast burmistrz Amsterdamu urządził dla członkiń zjazdu przyjęcie na 1000 osób.

Prasa odnosiła się do zjazdu bardzo życzliwie i nawet w dziennikach konserwatywnych pojawiały się szczegółowe i w przychylnym tonie pisane sprawozdania.

W obradach zjazdu na plan pierwszy wysunęła się kwestya angielska, rozprawiano gorąco o metodzie działania sufrażystek i toczyły się dysputy pomiędzy temi ostatniemi a partyą umiarkowaną, pragnącą powolnych, stopniowych zmian w ustawie prawodawczej. Następnie delegatki różnych krajów zdawały sprawę ze stanu kwestyi kobiecej w danem społeczeństwie. W Ameryce np. gdzie cztery tylko stany dały kobietom pełne prawa polityczne, prowadzi się kolosalna agitacya w prasie, dzienniki otrzymują setki artykułów w sprawie głosowania kobiet.

Obecny zjazd w Amsterdamie był drugim, pierwszy odbył się w r. 1904 w Berlinie, następny uchwalono urządzić w Londynie w r. 1909-ym.

Paulina Müller, przewodniczęca niemiecko-protestanckiego związku kobiet, ogłosiła w Tägle Rundschau artykuł, w którym charakteryzuje partye kobiece w Niemczech i tak: kierunek skrajny kobiet niemieckich przedstawia grupa kobiet socyalno demokratycznych, łączących się z socyalistycznemi organizacyami mężczyzn.

Druga partya, t. zw. mieszczański ruch kobiecy, tworzy dwie grupy: Związek postępowych stowarzyszeń kobiecych i Związek niemieckich stowarzyszeń kobiecych, do tego ostatniego należą: St. kobiet niemieckich, Zw. niemieckich nauczycielek, związek obrony prawnej i wiele innych.

Trzecia grupa stowarzyszeń kobiecych stoi na gruncie chrześcijańskim i bierze pogląd religijny za podstawę działania, do tej grupy należy niemiecko-protestancki związek kobiet i katolicki związek kobiet, ostatnie te dwa związki popierają dążności ruchu kobiecego, o ile są one zgodne z duchem chrześcijańskim, starają się skierować ruch ten na drogę pracy społecznej i ekonomicznej, opiekują się tak interesami jak moralnym i umysłowym poziomem kobiet, oraz starają się o rozszerzenie wpływu i praw kobiety na polu przemysłowem i prawnem, natomiast nie żądają równouprawnienia politycznego i tem program ich różni się od programu mieszczańskiego ruchu kobiecego.

Jeden z dzienników Waszyngtońskich podaje w artykule, zatytułowanym „Kobiety przy pracy w Stanach Zjednoczonych”, obszerną i szczegółową ocenę statystyczną kobiet pracujących, zbijając błędne mniemanie, iż Amerykanka to strojna lalka, przyzwyczajona do panowania i wyzyskiwania wszystkich praw i przywilejów swojej płci.

W Stanach Zjednoczonych pracuje 4,883,630 dziewcząt niżej lat 16, utrzymuje siebie, dopomagając rodzinie; pracownic starszych, a więc właściwie dorosłych jest 23,485,559. Między niemi jest 338,144 krawcowych, 327,206 nauczycielek, 146,929 gospodyń w hotelach, kawiarniach: pensyonatach i t. p., 234,458 robotnic ręcznych, 453,505 robotnic rolnych w fermach i t. p.

Kobieta pracująca na siebie i wystarczająca z pracy na swoje utrzymanie jest tu zupełnie tak samo normalnem zjawiskiem jak pracujący mężczyzna.

N. J.

Zniesienie Zakazu.

Dekretem z 23 października r. z. królowa holenderska zniosła wydany w marcu 1904 r. zakaz wstępowania w związki małżeńskie urzędnikom poczt i telegrafów.

Przyznanie alimentów.

Jak donosi „Zentralblatt“, druga izba parlamentu holenderskiego przyjęła prawo, ustalające obowiązek ojca płacenia alimentów na utrzymanie nieślubnego dziecka.

Anglia. Generalną inspektorką wszystkich żeńskich zakładów naukowych w Londynie tak wyższych jak elementarnych, mianowaną została panna Magdalena Lawrence. Na inspektorkę żeńskich więzień i domów poprawczych w Londynie naznaczono d-ra Ludwikę Gordon.

— Zapytywany w sprawie równouprawnienia politycznego kobiet, premier południowej Australii, przebywający obecnie w Anglii, tak się wyraził: „Współudział kobiet w głosowaniu nie zawiódł naszych oczekiwań. Oczyścił on politykę. Kandydat wątpliwej opinii daremnie teraz ubiegałby się o mandat. Kwestye społeczne i tyczące się moralności roztrząsane są sumiennie. Poziom etyczny szkół znakomicie się podniósł — a wszystko to przypisują spokojnemu, rozsądnemu wpływowi kobiet Wybraną dotąd nie była żadna, postawiono jedną kandydaturę kobiecą — lecz ta nie miała powodzenia“.

Gabr. R.

Chwila bieżąca.

— Najjaśniejszy Pan z Najjaśniejszą Panią Aleksandrą Teodorówną i Najjaśniejszemi dziećmi, odpłynęli na jachcie „Sztandar“ w podróż po zatoce fińskiej. — Jacht cesarski d. 25 z. m. zawinął do portu rewelskiego konwojowany przez liczne krążowniki.

— W Konstantynopolu d. 24 z. m. pojawił się w dziennikach komunikat urzędowy, w którym sułtan rozkazuje zwołać parlament i dokonać wyborów zgodnie z zasadami konstytucyi ustanowionej przez sułtana. — Prezydent komitetu młodotureckiego Achmet Riza-bej zapewnia, iż młodoturcy nie propagują celów rewolucyjnych, pragną tylko przywrócenia konstytucyi r. 1876.

— Po ogłoszeniu konstytucyi d. 25 z. m. ogłoszono dekret o amnestyi, dla wszystkich uczestników ruchu młodotureckiego tak cywilnych jako też wojskowych.

— Potwierdza się wiadomość o abdykacyi sułtana Abb ul-Hamida na rzecz ukochanego swego syna Burhan-Eddina.

— Redaktor pisma „Južnyj wiestnik“ Kostjakow został aresztowany, drukarnię zaś jego pisma zamknieto za wydrukowanie i rozlepienie na murach miasta numeru pisma, zawierającego artykuł hr. Leona Tolstoja przeciw karze śmierci p. t. „Nie mogę milczeć“.

— W Kijowie odbywa się zjazd prawosławny misyonarski, w którym biorą udział: Izwolski, trzech metropolitów, 30 biskupów prawosławnych i delegaci niższego kleru. Antonjusz, arcybiskup wołyński, jest prezesem zjazdu.

— Prezydent rzeczypospolitej francuzkiej Fallières, złożył wizytę królowi szwedzkiemu, poczem ze Sztokholmu w towarzystwie króla i królowej szwedzkiej odbył wycieczkę do zamku Grippsholm, gdzie przyjmowany był d. 25 z. m. śniadaniem galowem, wieczorem zaś bankietem w poselstwie francuzkiem na którym znajdowała się również monarsza para. Prezydent Fallières spodziewany jest w Rewlu.

— Wycieczka Polaków do Pragi spotyka się wszędzie z serdecznem przyjęciem.

— Pomiędzy prezesem Dumy państwowej Chomiakowem i Kramarzem nastąpiła wymiana grzeczności w formie depesz.

— W Persyi niepokoje przybrały charakter rewolucyjny. W Tabrys w ostatnich dniach jeźdzcy rządowi z jednej strony, rewolucyoniści z drugiej, rabują sklepy i domy. Między innemi zrabowano skład maszyn Singera i szkołę rosyjską. W mieście nieład i brak dowozu produktów spożywczych.

— W Rydze zbiegło czterech ważnych przestępców politycznych z więzienia melmarskiego, przy pomocy rozebrania sufitu w łazience. Dozorcę więzienia aresztowano.

— Cesarz chiński Kueng-Hsi zakończył życie w Pekinie w wieku lat 37.

— Dnia 1-go Sierpnia Najwyżej rozkazano generał-gubernatorowi finlandzkiemu generałowi Bökmanowi otworzyć nowy Sejm Wielkiego Księztwa Finlandzkiego w imieniu Jego Cesarskiej Mości.

— Sąd wyższy w Abo, jak donoszą z Helsingforsu, wydał wyrok w sprawie Stowarzyszenia „Wojna“, uznając za niewinnych wszystkich oskarżonych z pośród członków Stowarzyszenia, nie upatrując cech przestępstw przepisywanych przez okólniki władzy rosyjskiej, które tyle wrzawy narobiło w reakcyjnych sferach Cesarstwa.

Treść numeru:

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 20-ty tomu I powieści p. t. „Pamiętnik idealistki“, przez Malwidę von Meysenbug, w przekładzie R. C.

Laboratoryum St. Górskiego, Leszno 12

Nagrodzone na 4 wystawach światowych za hygieniczne i skuteczne przygotowanie wyrobów i poleca **uwadze Pań!!**

Crem Venus usuwajacy **Piegi,** plamy, pryszcze, liszaje odświeża i udelikatnia cerę. **Puder Venus** subtelnie przylegający. **Crem lanolinowy** w tubach.

Agatol z silnym aromatem najlepsze do **zębów** proszek i eliksir **Arago** najskuteczniej usuwa **Odciski.** Kop. 35 i 60. 1011

---

7 kl. zakład naukowy z klasami wstępnemi i oddziałem freblowskim

Zofii Kudasiewiczówny

Koszykowa № 13 (dom bar. Lessera)

Zapis uczennic od 20-go Sierpnia codziennie; egzaminy wstępny i powakacyjny 1 i 2-go września od 10—1-ej. Lekcye 3-go września. 1029

Szkoła Rzemiosł, Rysunków i Malarstwa

MĄCZYŃSKIEJ-METHAL Mazowiecka № 11, m. 7.

Roboty nauczycielskie. Slöjd wiórkowy, sznurkowy, drzewny, glina. Hafty białe, artystyczne. Malarstwo, rysunki, wypalanie, snycerstwo. Uczennice otrzymują patenty z prawami. Z krawieczczyzny, bielizny, haftów otrzymują świadectwa cechowe na podmistrzynie i mistrzynie. Kursy ranne i wieczorne. Pensyonat. Zapisy przyjmują się od 20 sierpnia.
1033

ZAKŁAD FRYZJERSKI

Roman Prochowski

Sienna 1, róg Marszałkowskiej. Telefon № 108.54.



Radykalne leczenie rozdwajania się włosów. Farbowanie na wszystkie kolory. Artystyczne, najpiękniejsze, nalżejsze **postiches bouffants. Transformations** sceniczne i salonowe według najpierwszych modeli paryskich. Wytworne czesanie.

APTEKA ***AP. KOWALSKIEGO***, Warszawa, Graniczna 10, robi słynne: — ***Od:***



POTU i odparzeń nóg, ciała, woni potu **Sudoryn** *w blaszank.* **z sitkiem**, 50 i 30 k. Skutek po 1-razowem użyciu.

ZGAGI złego trawienia, czkawki, kataru żołądka i kiszek, cierpień wątroby **pastylki** Russyana sodo-pepsynowe, ***bez kleju,*** 60 i 35 k.

KASZLU **astmy,** duszności, chrypki, zaflegmienia, kataru gardła, oskrzeli i płuc **granulki Russyana**, ***bez kleju***, 60 i 35 k.

MIGRENY i silnych bólów głowy **pastylki,** ***bez kleju.*** Już od ½ past. w ¼ godz. skutek. Nieocenione w domu, podróży, teatrze, na wizycie itd., 50 kop.

ŁYSIENIA **Krynol.** W dni kilka wstrzymuje wypadanie włosów z głowy, brwi, wąsów, brody, usuwa łupież, wzmacnia włosy i ich rośnięcie, 2 rb.

ODCISKÓW skóry zgrubiałej na podeszw., piętach, brodawek **Klawiol** płyn lub plaster po 30 k. Żądać wszystkich wszędzie. Strzedz się naśladownictw. — 40 k. przesyłka leków **od** 60 k. 1024



Patent angielski

PANIE i PANNY!

jeżeli pragniecie jaśnieć zawsze

PIĘKNOŚCIĄ,

MŁODOŚCIĄ,

ZDROWIEM,

koniecznie używajcie

KREM „KAZIMI" METAMORFOZA

Krem „KAZIMI" RADYKALNIE i BEZ ŚLADU usuwa PIEGI, WĄGRY, PLAMY, ORAZ ZMARSZCZKI, czyniąc skórę twarzy ŚWIEŻĄ i MŁODZIEŃCZĄ SPRZEDANO JUŻ PRZESZŁO MILJON SŁOIKÓW.

P. „CAZIMI" otrzymuje TYSIĄCE LISTÓW DZIĘKCZYNNYCH od przedstawicielek płci pięknej za niezmiernie doniosły swój wynalazek, który pozwolił im ZACHOWAĆ, a wielu damom odzyskać urodę.

Wobec usiłowanych naśladownictw i falsyfikatów przy kupnie należy koniecznie zwracać uwagę na, wyróżniające Krem „CAZIMI" Metamorfoza, cechy:

1) na wewnętrzej stronie słoika znajduje się biały wypukły napis *Cazimi*

2) PATENT ANGIELSKI, 3) rysunek, przedstawiający głowę chłopca z napisem „WYSTAWA WSZECHROSYJSKA" 1896 r. i 4) na opakowaniu słoika znajduje się rysunek „ŹRÓDŁO PIĘKNOŚCI", zatwierdzony przez Depart. Przemysłu i Handlu pod № 4683.

Medale Złote na Wystawach Hygienicznych 880

Niema zimnych i wilgotnych mieszkań

jeśli obsadzić w piecu

Patent. **MULTIPLIKATOR OGRZEWANIA**

PIECE ŻELAZNE MULTIPLIKATOROWE **Oszczędza 50% opału**

nie wydzielają swędu, utrzymują ciepło 8 g. po napaleniu

Pochlebne zaświadczenia, prospekty i cenniki bezpłatnie.

Ostrzega się przed nieudatnemi naśladownictwami.

Tel. 1502. **Biuro Techniczne Dr. W. P. KŁOBUKOWSKI, inż. chem.** Al. Jerozol. 71.

ROBES et CONFECTIONS **ANNE THONES** **Warszawa, Czysta 2**

Telefon 31.03.

Wszystkie nowości karnawałowe i sezonowe według najświeższych modeli Paryskich. Suknie strojne i kostyumy krawieckie. Wytworne travesti. 935

Modes „Varsovienne" Bracka 17

poleca wielki wybór kapeluszy strojnych angielskich w cenach przystępnych.

Prywatne 6 klasowe ***Progimnazjum męskie***

R. Kowalskiego

1038 **ze wszystkiemi prawami rządowemi**

dla nauczycieli i uczniów wszystkich klas.

Egzaminy wyznaczono na 29 sierpnia. Podania wraz z dowodami można składać w tymczasowym lokalu **CHMIELNA №. 16, w Warszawie. Telefon 133-84.**

Najlepsze środki udelikatniające i wybielające skórę są



Krem, Alkohol i Mydło ogórkowe

wyrobu Apteki M. Malinowskiego

w Warszawie, Nowy-Świat 35.

SANATOGEN

945



Wszystkim osłabionym, wycieńczonym,

zdenerwowanym i pozbawionym energii życiowej przywraca siły i chęć do życia

SANATOGEN BAUERA

Pochlebne opinie więcej niż 5000 lekarzy i profesorów. Dostać można we wszystkich aptekach i składach aptecznych. Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw. Prawdziwy tylko w opakowaniu rosyjskiem.

Broszury gratis i franco wysyła S. KARCZEWSKI, Warszawa, Nowo-Senatorska 4.



Nowość w Kosmetyce 1003

Krem Japoński **„BANZAJ"**

Przeciwko piegom, plamom żółtym i zmarszczkom. Działa energicznie, szybko, nie wymaga dłuższego bezużytecznego smarowania, wystarcza zużyć jeden słoik, ażeby osiągnąć rezultat pożądany. Sprzedaż we wszystkich aptekach i większych składach aptecznych i perfumeryach. Przedstawicielstwo i skład główny dla Królestwa Polskiego: Warszawa, Nowogrodzka 42, St. Staniszewski.

946



Największa fabryka gorsetów

„Aurelja"

Pierwszej w kraju **Mistrzyni Akademji Paryskiej**

Chmielna 29, Telefon 72-62. Filja Elektoralna 47, Tel. 81-51 **w Warszawie.**

Za 75 kop.

(można markami) 983

wysyłam dokładny sposób pielęgnowania cery, rąk i włosów oraz przepis Hygieniczny zapobiegania tworzenia się zmarszczek i ich usuwanie **Gabinet Kosmetyki Hygienicznej.**

Warszawa, ***Krucza 46 m. 3.***

Emilii Pankiewicz

pensjonat dla uczenic, kształcących się prywatnie lub w zakładach naukowych.
1039

Warszawa, Krucza 32 m. 9.

Jak osiągnąć piękny kształt biustu.



Panie i młode panny mogą osiągnąć piękność biustu zapomocą

Pilules Marbor

(Pigułki Marbor).

Te gwarantowane znakomite dla zdrowia pigułki są niezrównane dla rozwinięcia, wzmocnienia, ustalenia piersi i nadania jej wspaniałej okrągłości bez pogrubienia talii. Flakon z przepisem **3 rb. 50 k.** franc. **Pilules Marbor, 5 Passage Verdeau, à Paris.** Skład główny: **Tow. Akc. Ludwik Spiess i Syn.** 943

Dr. W. Zakrzewski

spec. akuszerja i choroby kobiece. Leczenie wysięków i przewlekłych chorób kobiecych metodami Apostolego i Bier-Polano, a także **kąpielami świetlno-elektrycznemi.**

Piękna 62, od 4-ej do 6-ej.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Piotr Laskauer. **Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa, Nowy-Świat 41.**